

<http://rcin.org.pl>



**GOTFRYD KELLER**

**T R Z E J  
SPRAWIEDLIWI  
GRZEBIENIARZE**

**Z ILUSTRACJAMI**

**PRZEŁOŻYLI STEFAN FRYCZ i ALFRED TOM**

**WARSZAWA**  **1921**  
**SKŁAD GŁÓWNY w KSIĘGARNI F. HOESICKA**



GOTFRYD KELLER

T R Z E J  
SPRAWIEDLIWI  
GRZEBIENIARZE

Z ILUSTRACJAMI

PRZEŁOŻYLI STEFAN FRYCZ i ALFRED TOM

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63

WARSZAWA ===== 1921

SKŁAD GŁÓWNY w KSIĘGARNI F. HOESICKA



NAKŁADEM I  
CZCIONKAMI DRUKARNI  
: WSPÓŁCZESNEJ :  
: : SZPITALNA 10 : : :

16.252



Gustav Diller

<http://rcin.org.pl>





## GOŁFRYD KELLER

Emigranci polscy po styczniowym powstaniu, przebywający w Szwajcarji, dobrze znali postać człowieka wzrostu niskiego, o potężnych barach i wielkiej zadumanej twarzy mędrca. Nieraz widywano go w towarzystwie wielkiego malarza szwajcarskiego, Böcklina, jak przechadzali się nad cichem, błękitnym jeziorem Zuryskiem. Przechodnie ze czcią zdejmowali przed nim kapelusz, szepcząc:— „To Keller“.

Gotfryd Keller—największy poeta szwajcarski... Znali go blisko polscy emigranci, ponieważ Keller był serdecznym przyjacielem Polski. W r. 1863 pisywał odezwy w obronie Polski, w których stale podkreślał myśl, iż „przed naprawieniem zła, wyrządzonego przez rozbiory Polski, nie można myśleć o spokoju i sprawiedliwości w stosunkach międzynarodowych“. Ale nie zadowolił się tylko słowem: był bowiem ten poeta człowiekiem czynu. Wstąpił prze-

to do komitetu pomocy dla Polski i przez jego ręce przeszły setki tysięcy franków dla Polski; on zajmował się zakupami broni dla powstańców i zaopatrywaniem ich w paszporty.

Tem bardziej dziwić się wypada, iż dotąd właściwie imię i twórczość największego poety szwajcarskiego wcale nie są w Polsce znane. Chociaż Keller tyle dobra Polsce wyświadczył i tyle czynnej miłości okazał—o Kellerze było w Polsce głucho.

A jest on poetą tak odrębnym i niepospolitym, że już sama jego twórczość winna była zwrócić na siebie naszą uwagę. Syn tokarza zuryskiego (ur. 1819 r., zm. 1890), od dzieciństwa nasiąknął Keller duchem szwajcarskiej demokracji, która do świetności doprowadziła tę małą, cichą, najpiękniejszą i najszczęśliwszą w Europie republikę. Dziecko ludu, nigdy nie odsunął się odeń i całą twórczość poświęcił zgłębianiu i przedstawianiu jego duszy, jego pojęć, uczuć, instynktów i legend.

Ten najwybitniejszy po Goethem, piszący po niemiecku, prozaik, władca słowa i rewelator, nigdy nie odsuwał się od życia czynnego, jak nie odsuwał się odeń nasz Mickiewicz. Całe długie lata, bywało, poświęcał pracy publicznej, podobnie jak Mickiewicz, dążąc do zharmonizowania doznań i przeżyć indywidualnych z życiem społecznym, bo wiedział, iż twórczość poetycka najściślej wiąże się z tętnem epoki i że jest tej epoki głosem i sumieniem.

W ten sposób wieczyste znaczenie pism Kellera ujęła najwyższa instytucja w państwie, Rada

Związkowa, wręczając poecie podczas jubileuszu w roku 1889 adres: „Jakkolwiek poezje te szczytami swemi sięgają w krainę fantazji, korzeniami głęboko wrosły one w skibę ojczystą i dlatego stanowią dla ludu naszego wysoką wartość. Zarazem jednak ich rdzeń moralny, ich wychowawcza w stosunku do ludu i do młodzieży siła, która bez szkody dla artystycznej doskonałości wiele z nich przepaja, sprawia, iż z dzieł tych zarówno współczesność, jak i najpóźniejsza potomność czerpać będzie najlepszą i najzdrowszą podniętę“. Jest istotnie w Kellera coś z tajemniczego rytmu, dźwięczącego zawsze w dziełach wielkich twórców narodowych. Nawet cudzoziemiec odczuje w nich obrzędową niemal powagę słowa, oczyszczonego w źródłach instynktu i wieszczon, ukrytych głęboko w tajnikach duszy ludowej. Przez Kellera mówi, tłumaczy się, wypowiada Szwajcarja.

W twórczości Kellera spłotły się czynniki patrioty, dziecka ludu, niezłomnego demokraty, malarza i realisty-wizjonera w jedną całość. Jest ona tak odrębna i tak rzeńska i tak zarazem przemawia swym urokiem, jak róża alpejska, która tylko na wyżynach rośnie, ale i ludzi z dolin pięknem swem czaruje.

Twórczość Kellera na ilość nie jest wielka: kilka tomów wierszy, dwie powieści i parę tomów nowel. Jest on realistą w tem znaczeniu, w jakim realistą jest Szekspir, Goethe, Mickiewicz. Obejmuje, rozumie i odczuwa wszelkie zjawiska i uczucia, ale potrafi i chce oprować je—nawet najbardziej tajemnicze—w ramy dostępne dla każdego. Jest prosty:

może czytać i zrozumieć go dziecko, może upajać się jego dziełem i rozkoszować filozof. W kropli rosy widzi załamanie się promieni, płynących z kosmosu, i umie to w formie jaknajprostszej ukazać. Odrębność jego stylu zasadza się na szczególnem połączeniu powagi z mądrą, dobroduszną figlarnością. A przytem każdy obraz, pejzaż, rys, każde słowo ma w sobie dostałość i konieczność wyrazu ostatecznego. Jest on przedewszystkiem wielkim gawędziarzem. Jego nowele są opowiadaniem o najdziwniejszych i najbardziej codziennych sprawach, jak najdziwniejszą i najbardziej codzienną sprawą jest powtarzający się od początku czasów wschód i zachód słońca. Nic sztuczności albo wyrafinowania. Wszystko jest jasne, twarde, wyraźne, plastyczne, jak wirch granitowy, odbijający się w seledynach jeziora alpejskiego.

*Zygmunt Kisielewski.*

## TRZEJ SPRAWIEDLIWI GRZEBIENIARZE.

Ludzie seldwilscy dowiedli, że całe miasto niesprawiedliwych albo lekkomyślnych może od biedy trwać wśród zmiennej czasów i losów kolei; trzej zaś grzebieniarze pokazali, że trzech sprawiedliwych nie może długo żyć pod jednym dachem, by się nie chwycić za czuby. Nie chodzi tu wszelako o sprawiedliwość niebiańską, ani o naturalną sprawiedliwość ludzkiego sumienia, lecz o tę bezkrwistą sprawiedliwość, która z „Ojczyzny” wykreśliła prośbę: I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom! — bo nic nikomu nie jest winna i nic jej się również od nikogo nie należy; która żyje, nikogo nie krzywdząc, ale też i nie czyniąc przyjemności nikomu; która chce owszem pracować i zarabiać, ale nic wydawać nie myśli, i w wiernym przywiązaniu do pracy znajduje tylko korzyść, a żadnego zadowolenia. Tacy sprawiedliwi nie przewracają latarni, ale ich też nie zaświecają, i żadne z nich światło nie bije;

uprawiają różne rękodzieła, a każde jest im równie dobre, byleby tylko było dość bezpieczne; najchętniej osiedlają się tam, gdzie jest wielu niesprawiedliwych w ich rozumieniu: bo gdyby takich pośród nich nie było, oni sami starliby się szybko, jak kamienie młyńskie, między którymi ziarna niemasz. Kiedy ludzi tego rodzaju spotka nieszczęście, są oni okropnie zdziwieni i jęczą, jakby ich na pal wbito, — toć przecie nikomu nic złego nie zrobili; bo w ich oczach świat jest jako wielka ubezpieczona instytucja policyjna, gdzie nikt nie obawia się, by spadła nań kara grzywny, jeśli tylko pilnie przed drzwiami swemi zamiata, doniczek nieopatrznie za okno nie wystawia i wody przechodniom na głowę nie wylewa.

W Seldwili istniała fabryczka grzebieni, której właściciele zmieniali się zazwyczaj co pięć lat bez mała, choć przedsiębiorstwo było dobre i wymagało tylko pilności, gdyż kramarze, obchodzący okoliczne jarmarki, stąd właśnie brali grzebienie. Prócz zwykłych zgrzebeł wszelkiego rodzaju, wyrabiano tam także najcudniejsze grzebyki dla elegantek miejskich i dziewczek służebnych z pięknie przezroczyściego rogu bawolego, w którym kunszt czeladników (bo majstrowie nie robili nigdy) bajcował mocno brunatne obłoczki szyldkretowe wedle pomysłu swego, tak że pod światło widziałeś na grzebieniach wspaniałe wschody i zachody słońca, kolorowe

baranki, wicher i ulewę oraz inne nakrapiane zjawiska przyrody.

W lecie, gdy robotnicy chętnie wędrowali i o czeladnika było trudno, przyjmowano ich uprzejmie, płacono im dobrze i dobrze też jeść dawano; ale w zimie, kiedy szukali schronu i trafiali się często-gęsto, musieli być pokorni i za tanie pieniądze robić grzebieni, ile tylko wlaźło; pani majstrowa dzień w dzień stawiała na stole misę kwaśnej kapusty, a majster rze-kał: „To ryby!“ A jeśli któryś z czeladników śmiał zauważyć: „Za pozwoleniem, to kapusta“—z miejsca odprawiano go i musiał wywędrować precz na zimę. Ale skoro tylko zazieleniły się łąki, a drogi podeschły, odzywali się: „A taki to kapusta!“ i wiązali swe manatki. Bo choć wtedy majstrowa natychmiast wrzucała na kapustę kawał szynki, a majster dodawał: „Dalipan! myślałem, że to ryby! No, aleć to prawdziwie szynka!“—to przecież czeladników ciągnęło tęsknie w świat, bo wszyscy trzej w jednym dwojaczko-wem łożu sypiać musieli i przez miesiące zimor-we naprzykrzyli się sobie już do syta wskutek szturchańców i wyziębianych boków.

Pewnego jednak razu przywędrował tam z Saksonji czeladnik porządny i łagodny; ten okazał się uległym, pracował jak mrówka, i nie sposób było go się pozbyć, tak że wkońcu stał się trwałym sprzętem w tej pracowni i wielkroć dostawał nowego majstra, albowiem w te

lata szło tu jakoś burzliwiej niż zwykle. Jobst wyciągał się w łóżku jak najszywniej i dzierzył swoje miejsce przy ścianie zimą i latem; kwaśną kapustę przyjmował bez szemrania jako rybę, a na wiosnę dziękował potulnie za kawałko szynki. Mniejszą płacę odkładał, równie jak i większą; nic bowiem nie wydawał, jeno wszystko sobie zaoszczędzał. Żył nie jak inni czeladnicy, nie pił nigdy bombki piwa, nie zadawał się z żadnym ziomkiem, ani wogóle z nikim z młodych, tylko stawał wieczorem w bramie i przekomarzał się ze starymi babami, podawał im na głowę wiadra wody, kiedy był szczególnie wspaniałomyślnie usposobiony, a szedł spać wraz z kurami, jeśli nie było tyle do roboty, izby za osobną dopłatą noc całą przepracował.

W niedzielę robił takóŜ aż do popołudnia, choćby pogoda była najwspanialsza; niech wszelako nikt nie sądzi, że czynił to radośnie i ochotczo, jak zwawy mydlarczyk Jan z naprzeciwka: ten trud dobrowolny przybijał go raczej, i skarżył się on ustawicznie na mozoł żywota. A gdy nastąpiło już niedzielne popołudnie, cały ubabrany, w kłapiących pantofliskach szedł przez ulicę do praczki po świeŜą koszulę i wyprasowany półkoszulek, po kołnierz wysztywniony albo lepszy smarkopłat, a niosąc wspaniałości te na rozpostartej dłoni, szykownym krokiem czeladniczym zmierzał ku domowi. Albowiem w fartuchu roboczym i trepach, czeladnicy niektórzy



zachowują zawsze osobliwie wymyślny sposób kroczenia, jak gdyby bujali w wyższych jakichś sferach, zwłaszcza zaś ukształceni introligatorzy, wesołe szewczyki oraz rzadkie cudaki-grzebieciarze. Wszelako, znalazłszy się w izbie swojej, Jobst długo się jeszcze namyślał, czy koszulę tę lub półkoszulek rzeczywiście włożyć — gdyż przy całej swojej łagodnej naturze i sprawiedliwości był on kawałem niechluj — czy też brudna bielizna jeszcze na tydzień starczyć musi, on zaś w domu zostanie i jeszcze krzywą popracuje. W takim razie zasiadał znów do roboty, wzdychając nad trudem i mazołem tego świata, i markotnie wpijał zęby w grzebienie albo przeistaczał róg na płytki szyldkretowe, czyniąc to tak jałowo i bez polotu, że smarował na nich wciąż te same trzy beznadziejne kleksy; bo jeśli coś nie było wyraźnie nakazane, nie zadawał on sobie najmniejszego trudu. Skoro się jednak zdecydował na spacer, to stroił się zawzięcie godzinę a nawet dwie, brał laseczkę i, krocząc jak manekin, wychodził nieco za bramę miasta, gdzie korny i znudzony to tu, to tam przystawał i wiódł nudne rozmowy z innymi wystawaczami, tak samo nie mającymi nic lepszego do roboty, jak naprzykład starzy biedni Seldwilanie, których nie stać już było na pójście do gospody. Z takimi stawał on chętnie przed jakimś nowo budowanym domem, przed polem zasiewnem, przed uszkodzoną wskutek wichury

jabłonią albo wreszcie przed jaką nową przedziałnią i bredził usilnie o tych rzeczach, o ich pożytku i cenie, o przewidywanych urodzajach i stanie ziemioplodów, choć znał się na tem wszystkim, jak kura na pieprzu.

Nie o to mu, zresztą, chodziło, jeno że czas mijał mu w ten sposób najtaniej i najmniej nudnie w jego mniemaniu, starsuszkowie zaś nazywali go grzecznym i rozumnym Saksończykiem, bo i sami o tem nie mieli pojęcia. Kiedy Seldwilanie zakładali wielki browar akcyjny, po którym obiecywali sobie niesłychane rzeczy, a rozległe podwaliny sterczały z pod ziemi, w ciągu wielu niedziel wymacywał tam laską, wzrokiem znawcy i z najżywszem napozór zajęciem badając postępy budowli, jakby był starym zawodowcem i najtęższym piwożłopem, „Dalibóg“—wołał raz za razem—„dyć to wielgie dzieło! to ci będzie przespaniała fabryka! Ale pieniędzy trza, huk pieniędzy! Ino że sklep tutaj widzi mi się trzeba ździebko niżej, a ściana tam—krzynę grubiej!“ — Prawiąc tak, nie miał nic na myśli prócz tego tylko, żeby na czas stawić się do wieczerzy, nim się ściemni; bo to była jedyna przykrość, jaką sprawiał pani majstrowej, że w żadną niedzielę nie podarował kolacji, jako inni czeladnicy, i że gwoli niemu musiała sama zostawać w domu lub też w inny sposób mieć go na głowie. Po spożyciu kawałka pieczeni albo kiełbasy, kręcił się

jeszcze trochę po izbie i kładł się zaraz spać; a to się nazywało u niego niedzielą, przyjemnie spędzoną.

Choć taki był skromny, łagodny i pocziwina, nie brak mu było lekkiego rysu głębszej ironji, jak gdyby ukradkiem drwił sobie z lekko-myślności i próżności świata, i sądziłbyś, że w wątpliwość podawał wielkość i doniosłość rzeczy, a był jakoby świadom zamysłu o wiele głębszego. Istotnie robił czasami taką mądrą minę, zwłaszcza kiedy wygłaszał swoje rzeczoznawcze mowy niedzielne, że widać mu było z twarzy, jako tai w swej głowie rzeczy o wiele ważniejsze, wobec których wszystko, co inni przedsiębrali, budowali i wznosili, jest jeno zabawką dziecinną. Powziął-ci on wielki plan, z którym nie rozstawał się we dnie ni w nocy, i który był dlań gwiazdą przewodnią w ciągu długich lat czeladnictwa jego w Seldwili: ciućać póty robociznę, aż pewnego pięknego poranku starczyłoby na kupno przedsiębiorstwa, gdyby wraz okazało się wystawione na sprzedaż, a wówczas on stałby się oto sam majstrem i panem. To było podstawą wszystkich jego poczynań i dążeń, zauważył bowiem, jak dobrze wieśćby się tu musiało człowiekowi pilnemu i oszczędnemu, człękowi, który szedłby własnymi cichymi drogami, a z beztroski innych umiałby jeno ciągnąć zyski, a nie doznawał strat. Stawszy się zaś majstrem, takiego by się rychło

dorobił majątku, by mógł otrzymać na miejscu prawa obywatelskie, zaczem myślał prowadzić żywot tak roztropny, jak żaden dotąd obywatel seldwilski; nie zawracać sobie głowy niczem, co nie zwiększałoby jego dobrobytu, nie wydawać złamanego szeląga, lecz ściągać ku sobie ile się tylko da w lekkomyślnym wirze tego miasta.

Plan ten był niemniej prosty, jak słuszny i zrozumiały, zwłaszcza, że przeprowadzał go całkiem dobrze i wytrwale: bo miał już odłożoną wcale sporą sumkę, ukrywaną starannie, która według niezawodnej rachuby musiała stać się z biegiem czasu dość wielką, by cel ten był osiągnięty. Co jednak w tym cichym i nikomu nie wadzącym planie było nieludzkie, to że Jobst mógł być powziąć go wogóle; albowiem nic w sercu jego nie skłaniało go do pozostania właśnie w Seldwili: ani szczególne upodobanie do okolicy, ani do ludzi, ani do ustroju państwowego tego kraju, ani wreszcie do jego obyczajów. Wszystko to było dlań równie obojętne, jak własna jego ojczyzna, za którą zgoła nie tęsknił.

W stu innych okolicach świata mógł się, przy swej pilności i sprawiedliwości, równie dobrze, jak tutaj, usadowić; nie miał jednak wolnego wyboru i w swej pustce duchowej uczepił się pierwszego włókna nadziei, jakie mu się nastreczyło, by zawisnąć na niem i ssać je aż do napęcznienia.

Gdzie mi dobrze, tam moja ojczyzna!—mówi się zazwyczaj, a przysłowie to jest słuszne dla tych, co rzeczywiście mogą powołać się na lepsze i konieczne źródło swego powodzenia w nowej ojczyźnie; którzy dobrowolnie w świat wyruszyli, by dzielnie zdobyć jakąś wywalczyć i wrócić do kraju, jako ustaleni ludzie; albo którzy przed niemożliwymi warunkami życia tłumnie uciekają z kraju i, posłuszni prądowi czasu, odbywają wespół z innymi nową wędrówkę ludów za morze; lub którzy gdzieindziej znaleźli wierniejszych przyjaciół, niż w domu, albo dla swych osobistych skłonności bardziej odpowiednie stosunki, lub też których zatrzymały na obczyźnie jakieś szlachetniejsze węzły ludzkie. Ale i tę nową krainę swego powodzenia będą wszyscy oni musieli przynajmniej polubić, gdziekolwiek się znajdą, i być od biedy podobni do ludzi. Natomiast Jobst bodaj że nie wiedział, gdzie przebywa; urzędnicy i obyczaje Szwajcarów były dlań niezrozumiałe i mawiał jeno czasem: „Ano, Szwajcary to polityczne ludzie! Juźci, polityka, na mój rozum, to je piękna rzecz, jeśli komu lubuje! Ja ta tego nie rozumiem, u nas tam to tego nie zwyczajni”. Obyczaje Seldwilan były mu wstrętne i czyniły go trwożnym, a gdy przedsiębiorali oni rozruchy lub pochody, siedział skulony i drżący za piecem, obawiając się gwałtów i mordu. A mimo to wszystko, jedyną jego myślą i wielką tajemnicą

było, żeby tu zostać aż do końca dni swoich. Po wszystkie krańce ziemi rozsiani są tacy sprawiedliwi, którzy usadowili się tam jedynie z tej racji, że przypadkiem trafili na smoczek dobrego utrzymania, i ssą go w spokoju—bez tęsknoty za dawnym, a bez miłości dla nowego kraju, bez spojrzenia w dal i bez widzenia tego, co pod bokiem; a, niż do wolnych ludzi, podobni są raczej do owych niższych organizmów, owych dziwnych żyjątek i nasion roślinnych, zaniesionych przez powietrze i wodę na przypadkowe miejsce pomyślnego rozwoju.

Tak tedy mijały latka w Seldwili, a on ciułał do kupy swój skarb najdroższy, który trzymał w ukryciu pod cegłą w podłodze swej izby. Żaden jeszcze krawiec nie mógł się pochwalić, że grosz na nim zarobił, bo surdut odświętny, który z sobą przywiózł, był wciąż taki sam, jak wówczas. Żaden jeszcze szewc nie dostał od niego szeląga, albowiem dotąd nie zdarły się nawet podeszwy od owych butów, które w dniu jego przybycia zwiślały ozdobnie z walizy podróżnej: boć rok ma tylko pięćdziesiąt dwie niedziele, a z tych pięćdziesięciu dwóch zaledwie połoweczkę obrócił na małe przechadzki.

Nikt nie mógł się pochłubić, iż zdarzyło mu się kiedykolwiek widzieć w jego ręku małą lub dużą monetę, gdyż płaca przezeń otrzymywana znikała natychmiast w sposób zgoła tajemniczy, a nawet wówczas, gdy za miasto wychodził,

nie brał do kieszeni ani grdynia, tak iż było dlań rzeczą niemożliwą, by cośkolwiek wydał. Kiedy przekupki przychodziły do warsztatu z różnym owocem: wiśniami, śliwkami lub gruszkami, a insi robotnicy dawali folgę swej pożądlivości, miałci i on chętek coniemiarą, które przez to koić potrafił, że z największem zajęciem brał udział w rozprawach, gładził i obmacywał śliczne wiśnie i śliwki, aż wreszcie kobiety, które brały go zrazu za najskwapliwszego nabywcę, zrażone odchodziły, on zaś cieszył się, iż jest tak wstrzemięźliwy; zaczem z przyjemnym uśmiechem, sypiąc mnóstwem drobnych rad, jak jabłka kupione piec lub obierać mają, przyglądał się jedzącym spółtowarzyszom. Ale podobnie, jak nikomu nie trafiło się nigdy zobaczyć u niego jakiegoś pieniążka, tak również nie usłyszał nikt od niego szorstkiego słowa, niesłusznego żądania, ani też nie spotkał się ze skrzywioną miną; przeciwnie, schodził on baczenie z drogi wszelkim zwadom, a kiedy nań pluto, mówił, że to deszcz pada; a choć łasy był na śledzenie i osądzanie wszelkich plotek i kłótni, jako że dawały mu w każdej chwili bezpłatną rozrywkę, gdy inni czeladnicy oddawali się swym prostackim pohulankom,—miał się zawsze dobrze na bacności, by nie wtrącić do czegokolwiek swych trzech groszy i nie być przyłapanym na gorącym uczynku. Słowem, była to najosobliwsza mieszanina prawdziwie heroiczej

mądrości i wytrwania oraz łagodnej serca i uczuć oschłości.

Zdarzyło się otóż, iż od wielu tygodni był on jedynym czeladnikiem w warsztacie i czuł się tak błogo wśród tej swobody, jak ryba w wodzie. Zwłaszcza w nocy cieszył się przestronnością miejsca w łożu i korzystał z tych pięknych dni nader gospodarnie, by odszkodować się za dni, które nadejść miały, i potroić niejako swą osobę, a to tak, że nieustannie zmieniał położenie i wyobrażał sobie, że oto trzej w łóżku razem leżą, z których dwaj upraszają trzeciego, by się przecie nie krępował i dogodził sobie. Tym trzecim był on sam, więc na takie zaproszenie owijał się lubieżnie w całą kołdrę lub rozkraczał nogi szeroko, kładł się wpoprzek łóżka albo w głupawej uciezce wywracał w niem koziołki. Dnia jednego, kiedy o szarej zaledwie godzinie już leżał w łóżku, zgłosił się niespodzianie jakiś nowy czeladnik, wprowadzony przez majstrową do izby sypialnej. Jobst leżał se właśnie najwygodniej w świetle nogami na poduszkach wezglowia, głową zaś u nóg, gdy wszedł nieznajomy, zdjął ciężki swój kuferek i bez zwłoki począł się rozbiierać, jako że był znużony. Jobst obrócił się jak strzała i padł wyciągnięty sztywnie na swe miejsce pod ścianą, a pomyślał sobie: „Ten-ci drapnie rychło, boć to lato przecie, a wędrować miło!“ W tej nadziei poddał się z cichem westchnie-



niem swemu losowi, i już mu stanęła przed oczyma nocna walka o kołdrę, tudzież spychanie się i szturchańce. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy przybysz, choć to był Bawar, z uprzejmem powitaniem legł przy nim w łóżku i zachowywał się w drugim jego końcu równie jak on spokojnie i arcyobyczajnie, a w ciągu całej nocy w niczem nie dawał mu się we znaki. Ta niesłychana przygoda wytrąciła go z równowagi do tego stopnia, że gdy Bawar spał sobie w najlepsze, on przez całą noc nie zmrużył oka. Rankiem przyglądał się osobliwemu współłożnikowi nader bacznie i ujrzał, że był to także niemłody już czeladnik, który w grzecznych słowach wypytywał się o tutejszy tryb życia i stosunki, zupełnie tak, jak onby to czynił.

Skoro to zauważył, trzymał się w garści i przemilczał rzeczy zgoła zwykłe, jakby jakąś wielką tajemnicę, usiłował natomiast dobrać się do dna tajemnicy Bawara; bo że ten także jakąś w sobie krył, na czole miał to wypisane; boć i pocóż byłby zeń taki rozsądny, łagodny i stateczny człek, gdyby nie miał przed się czegoś tajnego, nader korzystnego? Tak więc zaczęli przewąchiwać się nawzajem, ostrożniutko a zgodnie, w półsłówkach i wabnych ścieżkach okolnych. Żaden nie dawał jasnej i dorzeczej odpowiedzi, a przecież po upływie kilku godzin każdemu stało się wiadomem, że drugi jest ni mniej

ni więcej, tylko zupełnym jego sobowtórem. Gdy w ciągu dnia Frydolin, Bawarczyk, biegał kilkakrotnie do izby i czemś tam się zaprzętał, skorzystał Jobst z pierwszej sposobności, żeby również tam się zakraść w chwili, gdy tamten siedział przy robocie, i w lot przepatrzył manatki Frydolina; nie odkrył wszelako nic więcej, jeno prawie także same fatalachy, jakie sam posiadał, nie wyłączając drewnianego igielnika, który wszakże tutaj był w kształcie ryby, gdy tymczasem Jobst figlarnie sprawił był sobie dziecięcuzko w powijakach; zamiast zaś porzuczonego podręcznika dla ludu do nauki języka francuskiego, który Jobst czasami przeglądał, znaleźć można było u Bawara dobrze oprawną książczynę, zatytułowaną: „Chłodna i ciepła kufa, podręcznik niezbędny dla farbiarzy“, wewnątrz zaś było napisane ołówkiem: zastaw za dychę, com ją pożyczył Nasauczykowi. Wynioskował stąd, że to człek, umiejący swoje trzymać w garści; wodził tedy bezwiednie wzrokiem po podłodze i zauważył wnet cegłę, która wydała mu się jakby niedawno wyjęta; i w samej rzeczy leżał oto pod nią skarb, zawinięty w połówkę starej chustki do nosa, obwiązany nicią, a prawie równie ciężki, jak i jego skarb, który dla odmiany mieścił się w zawiązanej skarpetce. Drżącą ręką wtłoczył napowrót płytę ceglana, a drżał cały z podniecenia i podziwu dla cudzej wielkości oraz z troski

głębokiej o swoją tajemnicę. Lotem strzały zbiegł po schodach do warsztatu i chwycił za robotę i robił, jak gdyby trzeba było cały świat grzebieniami zarzucić, a Bawar pracował, jak gdyby jeszcze i niebo trzeba było wyczesać. Dni następne potwierdziły w zupełności to pierwsze obustronne wrażenie, albowiem jeżeli Jobst był pilny i skromny, to Frydolin był czynny i powściągliwy, wydając podobneż wątpieniem nacechowane westchnienia nad brzemieniem takiej cnoty; o ile zaś Jobst był pogodny i mądrała, to Frydolin okazywał się żartobliwym i roztroptym; jeżeli tamten był skromny, ten był pokorny; ów—ironiczny i chytry, ten—prawie satyryk i wyga, a jeśli Jobst wobec jakiejś rzeczy, której się lękał, robił spokojnie minę, jakby dwóch zliczyć nie umiał, to Frydolin wyglądał nieporównanie, jak skończony osioł. Ożywiała ich nietyle chęć współzawodnictwa, ile raczej wprawianie się w mistrzostwo, dobrze siebie świadome, przyczem żaden nie gardził braniem sobie drugiego za wzór i przyswajaniem najbardziej subtelnych rysów doskonałego trybu życia, których mu, jak sądził, niedostawało jeszcze. Wy glądali nawet tak zgodnie i jednomyślnie, jakby przedsiębrali jakąś rzecz wspólną, i tak oto byli podobni do dwóch dzielnych bohaterów, którzy zachowują się względem siebie rycersko i wzajem się w zbroję zakuwają, nim walczyć zaczną. Lecz i tydzień nie minął,

a oto się zjawił jeszcze jeden: Szwab, imieniem Dytrych,—wobec czego tamci obaj doznali bezsłownej radości, widząc w przybyszu ucieszny probierz, który posłuży im za miarę cichej ich wielkości, i zamysłali biedne to Szwabiątko, które okaże się niewątpliwie istnem nicpotem, wziąć między swe cnoty, jak dwa lwy małpkę, z którą igrają.

Ale któż opisze ich zdumienie, gdy Szwab zachowywał się akurat tak samo, jak oni, a przeniknięcie się wzajemne, które między nimi nastąpiło, powtórzyło się raz jeszcze samotrzeć, przez co nie tylko znaleźli się wobec przybysza w zgoła niespodziewanej dla siebie pozycji, ale i sami względem siebie zajęli położenie całkiem zmienione.

Zaraz, gdy wzięli go w łóżku między siebie, okazał się Szwab z tej samiutkiej gliny ulepiony i leżał jak kij — taki prosty i nieruchomy, tak iż między nimi zostawało zawsze nieco miejsca wolnego, a kołdra leżała na nich, jak papier na trzech śledziach.

Położenie tedy stało się poważniejsze, skoro bowiem wszyscy trzej jednako stali naprzeciwko siebie, niby kąty w trójkącie równobocznym, i żaden bliższy stosunek między dwoma z nich nie był możliwy, tudzież żadne zawieszenie broni, ani współzawodnictwo miłe: z całą powagą dokładali wszelkich starań, by wykurzyć się nawzajem zarówno z łoża, jak i z domu. Gdy maj-

ster spostrzegł, że te trzy cudaki na wszystko przystają, aby tylko zostać na miejscu, urywał im z płacy i dawał wikt skąpszy; oni jednak przykładali się do roboty tem pilniej i dali mu możność puszczania w obieg wielkiej ilości towaru taniego i czynienia zadość mnożącym się wciąż zamówieniom, tak iż dzięki cichym czeladnikom zarabiał pieniędzy coniemniara i miał w nich istną kopalnię złota. Popuścił pasa aż o kilka dziurek i robił z siebie w całym mieście wielkiego pana, a tymczasem te głuptaki zapracowywały się w ciemnym warsztacie dniem i nocą, by się nawzajem stąd precz wysadzić. Szwab Dytrych, najmłodszy z nich, okazał się wyciosany na tę samą modłę, jak dwaj tamci, tylko że nie miał jeszcze żadnych oszczędności, jako że za mało dotąd wędrował. Ta okoliczność byłaby dlań groźną, bo Jobst i Frydolin za bardzo go wyprzedzili, gdyby, jako pomysłowy Szwabek, nie wywołał dla się nowej mocy czarodziejskiej, aby przewagę tamtych wyrównać. Ponieważ dusza jego próżna była wszelkiej namiętności, tak samo, jak i dusze jego współtowarzyszy, z wyjątkiem tej jedynej, by właśnie tutaj, nie gdzieindziej, się osiedlić i dobrze urządzić, więc umyślił sobie, żeby się zakochać i starać o rękę osoby, któraby mniej więcej posiadała tyleż, ile Sas i Bawar mieli schowane pod cegłami. Było to jedną z nielicznych, zresztą, zalet Seldwilan, iż nie żenili się z kobietami

brzydkimi lub niemilemi gwoli trochy grosza; coprawda, to i pokus wielkich nie mieli, bo w mieście brakło bogatych spadkobierczyń, zarówno ładnych, jak i brzydkich; to też zdobywali się przynajmniej na męstwo gardzenia drobnemi okruchami i wiązali się raczej z wesołemi i ładnemi osóbkami, któremi mogli przez lat kilka paradować. Przeto węższacemu wszędy Szwabkowi nie trudno było utorować sobie drogę do cnotliwej dziewicy, która mieszkała opodal i o której wywiedział się w rozmowach roztropnych ze starymi babami, że jest posiadaczką listu zastawnego na siedemset guldenów.

Była to Zezia Byncli, panna, licząca lat dwadzieścia ośm, która mieszkała społem ze swą matką, praczką, lecz ową spuścizną ojcowską władała niepodzielnie. List ów trzymała w małej lakierowanej skrzynce, w której chowała prócz tego i kupony, i metrykę, i świadectwo konfirmacji oraz pozłoczone i malowane jajko wielkanocne; dalej — pół tuzina srebrnych łyżeczek, „Ojczy Nasz“ drukowane złotem na czerwonym przezroczystym batyście szklanym, który nazywała skórą człowieka; pestkę wiśniową z wyrzeźbioną wewnątrz Męką Pańską i szkatułkę z wykładanej na czerwonej tafcie kości słoniowej, zawierającą lustreczko i srebrny napastek; była tam jeszcze inna pestka wiśniowa, w której stukały maluśkie kręgielki; orzech, który otworzony ukazywał za szkłem mały ołtarzyk

z Bogarodzią, serduszko ze srebra, w którym tkwiła wonna gąbeczka, i bombonierka ze skórki cytrynowej z wymalowaną na wieczku poziomką, gdzie złota szpilka leżała na wacie, mającej kształt niezapominajki, i medaljonik z ozdobą z włosów; następnie — pęk pożółkłych papierów z receptami i sekretami, flakonik z kroplami Hofmana i drugi z wodą kolońską oraz puderko z piżmem; inne jeszcze ze szczątkiem łajna kuniego i koszyczek z ziół pachnących, jako też inny, wyrobiony z paciorków i gwoździków korzennych; wreszcie książeczka, oprawna w błękitny papier zeberkowy z wyciskiem srebrzystym, a zatytułowana: „Złote myśli dla dziewicy, jako narzeczonej, małżonki i matki“; sennik, poradnik dla piszących listy, pięć czy sześć listów miłosnych i żegadło do puszczenia krwi: bo niegdyś utrzymywała stosunek z jakimś fryzjerem czy felczerem, którego małżonką być zamierzała; a że była wielce zręczną i rozsądną osobą, nauczyła się od swego lubego puszczenia krwi, przykładania pijawek, stawiania baniek i tym podobnych rzeczy, a nawet mogła go już sama golić. Aliści okazał się człowiekiem niegodnym, przy którym całe szczęście żywota swego snadnie postradaćby mogła, to też po smutnej i rozważnej decyzji stosunek ów zerwała. Podarki zwrócono sobie obustronnie, z wyjątkiem tylko żegadła; zatrzymała je jako zastaw za guldena i centów czterdzieści ośm, które mu

razu jednego w gotowiźnie pożyczyla; niegodziwiec twierdził jednak, że nic jej nie jest dłużny, ponieważ pieniądze owe wręczyła mu na jakimś balu dla pokrycia wydatków, zjadła zaś wówczas dwa razy tyle, co on. Tak więc przy nim zostały gulden i owe czterdzieści ośm centów, ona zaś posiadała żegadło, którem z miejsca puszczała krew wszystkim swoim znajomkom i zarabiała przytem grosik nielada. Lecz za każdym razem, gdy posługiwała się tym przyrządem, z bólem serca myśleć musiała o nikczemności tego, który był jej tak bliski i niebawem miał stać się jej małżonkiem!

Wszystko to zawarte było i szczelnie zamknięte w lakierowanej skrzynce, ta zaś była schowana w starej szafie orzechowej, od której klucz Zezia Byncli stale przy sobie nosiła. Sama zaś osoba ta miała włosy cienkie czerwone, a oczy niebieskie wodniste, które nie były zgoła bez powabu, a patrzyły czasem łagodnie i mądrze; posiadała mnóstwo ubiorów, z których nosiła tylko niektóre i to zazwyczaj najstarsze, ale zawsze była starannie i schludnie odziana, a nie mniej czysto i porządnie wyglądało w jej pokoju.

Pracowita była bardzo i pomagała matce w praniu, prasując bieliznę cieńszą i piorąc czepeczki i mankietki Seldwilanek, co przynosiło jej wcale ładny grosz; z tej czynności pochodziło to zapewne, iż w każdym tygodniu przez dnie, kiedy odbywało się pranie, trzymał się jej



ów surowy i skupiony nastrój, jaki zwykle napada niewiasty w czasie prania, i że nastrój ten utrwalił się w niej raz na zawsze w dniu owe; dopiero przy prasowaniu ogarniała Zezię większa pogoda ducha, przyprawiona u niej zwykle pewną dozą mądrości. O skupionym umyśle świadczyła także główna ozdoba w jej mieszkaniu — wieniec z czworokątnych, dokładnie odmierzonych cyrklem kawałków mydła, które gwoli stwardnienia, aby były przydatniejsze, leżały dookoła na gzymsie jodłowej buazerji.

Kawałki te odmierzała i drutem mosiężnym wykrawała z świeżych tafli zawsze Zezia sama. Drut miał na końcach dwie drewniane poprzeczki dla dogodniejszego ujmowania i przekrawania miękkiego mydła; piękny zaś cyrkiel do dzielenia onegoż na części sporządził jej i podarował w swoim czasie czeladnik ślusarski, z którym była jakby zaręczona. Od niego miała też lśniący mały moździerz do tłuczenia korzeni, który między niebieskim imbrykiem i pomalowanym kwietnikiem zdobił gzyms jej szafy; dawno już zgrabny taki moździerz był przedmiotem jej życzeń, to też baczny ślusarz znalazł się w kropce, gdy w dniu jej imienin zjawił się z tym podarkiem i przyniósł jeszcze coś do tłuczenia: pudełko z cynamonem, cukrem, gwoździkami i pieprzem. Moździerz naówczas zawiesił on sobie przed wejściem do pokoju na ma-

łym palcu, a tłuczkiem począł dzwonić pięknie, niby dzwonem, tak iż radosny to był ranek.

Ale rychło potem fałszywy ten człek zwiął z okolicy, i nie było o nim ani słuchu, ani ducha. Na dobitkę majster zażądał zwrotu mózdzierza rzekomo z tej racji, że zbieg wziął ten przedmiot z jego sklepu, ale za rzecz nie zapłacił. Zezia Byncli jednak pamiątki cennej nie wydała, jeno procesowała się mężnie i zawzięcie, broniąc swej sprawy przed sądem osobicie na podstawie rachunku za wyprane dla uciekiniera półkoszulki. Dni one, gdy proces o mózdzierz prowadzić była zmuszona, stanowiły najdonioślejsze i najbardziej bolesne chwile w jej życiu, albowiem głębokim swym umysłem rzecz tę, a zwłaszcza stawanie przed sądem w sprawie tak delikatnej, pojmowała i odczuwała o wiele żywiej, niż inni lekcy ludzie. Jednak odniosła zwycięstwo i zatrzymała mózdzierz.

Jeżeli ozdobna galerja z mydeł znamionowała jej skrzętną zabieглиwość i dokładność, to niemniej podniosłego i wyszkolonego jej ducha zalecała kupka wszelakich książczyn, leżących na oknie w warstwach uporządkowanych jedna na drugiej, a które w niedziele pilnie czytywała. Posiadała jeszcze wszystkie podręczniki szkolne z dawnych lat — nie zgubiła ani jednego, a także miała w pamięci całą tę drobną uczoneść, więc mogła recytować bez zajknięcia się i katechizm, i deklinacje, reguły rachunku i nazwy

geograficzne, dzieje biblijne i świeckie wypisy; posiadała również niektóre z ładnych historyjek Krzysztofa Szmida i jego powiastki z grzecznymi wierszykami na końcu, z pół tuzina różnych skarbczyków i ołtarzyków do porady, zbior kalendarzy, pełnych wypróbowanej i różnorodnej mądrości, kilka niezwykle przepowiedni, wskazówki do stawiania kabały, rozmyślenia pobożne na wszystkie dni roku dla dziewic myślących i stary egzemplarz „Zbójców“ Szyllera, których odczytywała zawsze, ilekroć jej się widziało, iż dostatecznie treści ich nie pamięta; a za każdym razem wzruszała się na nowo, prawda jednak o tem bardzo rozsądne i światłe mowy. Wszystko, co książki te zawierały, miała ona w głowie, a potrafiła mówić o tem i o wielu jeszcze innych rzeczach jak najcudniej. Kiedy bywała zadowolona i niezbyt zajęta, rozbrzmiewały z ust jej mowy bez końca, a każdą rzecz umiała omówić i ocenić, i wszyscy — młody czy stary, wielki czy mały, wykształcony czy nieuk — musieli od niej się uczyć i jej sądowi się poddać, a ona uśmiechnięta lub zamyślona słuchała wpierv z uwagą, o co rzecz się toczy; mówiła czasem tak wiele i z takim namaszczeniem, jak uczona niewidoma, która nic ze świata Bożego nie widzi, a ma tę jedyną przyjemność, że słyszy dźwięki swego głosu.

Z czasów pobytu w szkółce miejskiej i z nauki przygotowawczej do konfirmacji za-

chowała bez przerwy wprawę do pisania wypracowań, katechizmowych ćwiczeń z pamięci i wszelkiego rodzaju schematycznych sentencji, i tak oto wygotowywała od czasu do czasu w ciszy niedzielnej najdziwniejsze rozprawki, przyczepiając do jakiegoś pięknie brzmiącego nagłówka, który zasłyszała lub gdzieś przeczytała, najosobliwsze i najbardziej niedorzeczne zdania i wypełniała nimi całe arkusze wedle tego, jak leżyły się one w jej szczególnej łepetynie, na przykład: o pożytku siedzenia przy chorym, o śmierci, o zbawienności zaparcia się siebie, o wielkości świata widzialnego i tajemniczości niewidzialnego, o życiu sielskiem i jego uciechach, o naturze, o snach, o miłości, coś-niecoś o dziele Chrystusowem odkupienia, trzy punkty o wymierzaniu sobie sprawiedliwości, myśli o życiu wiecznem. Przyjaciołom i wielbicielom odczytywała na głos te prace, a komu była szczególnie życzliwa, temu darowywała jedną albo dwie takie rozprawki, on zaś musiał włożyć je do Biblii, o ile ją posiadał.

Ta duchowa strona jej osoby ściągnęła jej niegdyś głęboką i szczerą skłonność młodego introligatorczyka, który zwykł był czytać wszystkie książki, jakie opraciał, a był młodzieńcem niedoświadczonego, lecz pełnym aspiracji i sentymentu. Ilekroć przynosił do matki zezinę węzełek z bielizną do prania, zdało mu się zawsze, że jest w siódmym niebie, tak słodko

było mu słuchać tych wspaniałych mów, które nieraz już sam idealnie pomyślał sobie w duchu, ale wykrztusić ich nie miał odwagi. Nieśmiały i czci pełen zbliżał się do surowej i wymownej naprzemian dziewicy, a ona pozwalała mu obcować z sobą i przywiązała go do siebie na przeciąg roku całego, lecz nie bez tego, by trzymać go zarazem w granicach niedwuznacznej beznadziejności, wytkniętej dłonią łagodną, lecz nieubłaganą. Albowiem, że był młodszy od niej o lat dziewięć, goły jak bizun i niesprawny w zarobkowaniu, które dla introligatora w Seldwili i tak nie było rzeczą łatwą, bo ludzie tam nie czytali, i mało książek do oprawy dawano,— przeto nie ukrywała przed sobą ani chwili niemożliwości małżeńskiego z nim związku i starała się tylko do wyżyn własnej zdolności samozaparcia na wszelki sposób ducha jego doksztalcić, a w tumanie frazesów błyskotliwych zabalsamować. Przysłuchiwał się jej zbożnie i ważył się czasem sam na piękne zdanie, które ona mu przecież, ledwie zrodzone, uśmiercała jeszcze piękniejszym; był to rok najbardziej uduchowiony i najszlachetniejszy w jej życiu, nie zmacony żadnym brutalnym powiewem,— a przez ten czas młody ów człowiek oprawił jej wszystkie książki na nowo i wybudował jej nadto w ciągu nocy wielu i wielu dni świątecznych kunsztowny i drogocenny pomnik swego uwielbienia. Była to wielka chińska

świątynia z tektury z niezliczonymi skrytkami i tajnymi półkami, a można ją było rozebrać na wiele części. Była ona oblepiona najdroższym barwnym i wytłaczanym papierem różnego rodzaju i ozdobiona wszędzie wyłaczanymi brzeżkami.

Szły tam naprzemian ściany zwierciadlane i kolumny, a dość było odjąć jakąś część lub podnieść zasuwę, by ujrzeć nowe zwierciadła i ukryte obrazki, wiązanki kwiatów i zakochane parki; na wystających kantach dachów zwiślały zewsząd dzwoneczki. Mieścił się tam również i schówek na zegarek damski, a na kolumnach z haczykami ładnymi mógł dyndać sobie zawieszony złoty łańcuszek; ale, jak dotąd, nie zbliżył się do niej jeszcze żaden zegarmistrz, któryby zegarek, ani też żaden złotnik, któryby łańcuszek na tym ołtarzu złożył.

Kunszt i mozół bez końca strwoniono na tę wymyślną świątynię, a geometryczny jej wymiar był niemniej pełen trudu, jak i schludna, dokładna robota. Gdy pomnik pięknie przeżytego roku był już gotów, zachęciła Zezia Byncli dobrego introligatorczyka, przewycięzając samą siebie, by oderwał się od niej i wziął swój kij wędrowny, gdyż świat stoi przed nim otworem, i jemu, który w obcowaniu z nią, w jej szkole tak bardzo serce swe wyszlachetnił, z pewnością uśmiechnie się jeszcze szczęście najcudniej-

sze, gdy ona tymczasem nie zapomni o nim nigdy i będzie odtąd żyła w samotności.

Płakał rzewnymi łzami, gdy tak go odprawiała, i miasteczko mu opuścić przyszło. Natomiast dzieło jego królowało teraz na Zezi komodzie staromodnej, nakryte gazą zielonkawą, niedostępne dla pyłu i spojrzeń niegodnych. Obchodziła się z niem jak ze świętością, tak iż zachowało się nieużywane i nowe, bo nic nie kładła do skrytek; a twórcy jego dawała we wspomnieniach miano Emanuela, gdy on właściwie zwał się Wit, i powiadała każdemu, że Emanuel tylko rozumiał ją i głębi jej istoty przeniknął. Jemu jednemu tylko rzadko to przyznawała, lecz z właściwą sobie surowością trzymała go krótko, a gwoli dodania mu ostrogi, by piął się jeszcze wyżej, dowodziła mu często, że ją najmniej rozumie wtedy, gdy mu się to najbardziej zdaje. Ale i on splątał jej figła, włożywszy w podwójną podłogę na samem dnie świątyni najwspanialszy list, łzami skropiony, w którym wyrażał niewysłowne strapienie, miłość, cześć i wierność wieczystą, a to w słowach tak cudnych i naiwnych, na jakie zdobyć się może tylko prawdziwe uczucie, zabłąkane w manowiec bez wyjścia.

Rzeczy tak pięknych nie wymówił nigdy, bo nigdy mu do słowa przyjść nie dała. Ale że nie przeczuwała zgoła, iż tam taki skarb jest ukryty, stało się tedy, że los postąpił spr-

wiedliwie, a piękności fałszywej nie dał ujrzeć, czego zobaczyć nie była godną. Tkwił w tem również symbol, że to ona właśnie nie pojęła głupawej, ale uczuciowej i szczerzej natury introligatorczyka.

Oddawna już chwaliła ona żywot trzech grzebieniarzy i mawiała o nich, iż są to trzej sprawiedliwi i rozsądni męże, albowiem przyglądała im się bacznie. Więc gdy Szwabek Dytrych począł dłużej zatrzymywać się u niej, ilekroć przynosił lub odbierał swą koszulinę, i gdy jej nadskakiwał, ona przyjaźnie zatrzymywała go u siebie rozmową przednią całemi godzinami, a Dytrych gębował jej pełen podziwu, jak tylko mógł; ona zaś potrafiła znieść pochwałę nielada, owszem lubiła kadzidło chwalby tem bardziej, im silniej pachniało, a gdy rozwodzono się nad jej mądrością, słuchała milcząc powściągliwie, dopóki nie wysypano z rękawa wszystkiego, zaczem ona z większem namaszczeniem rozsnuwała przedzę dalej i dopełniała tu i owdzie obrazu swej osoby, jaki naszkicowano. Ledwie Dytrych zaczął bywać u Zezi, a już pokazała mu swój list zastawny, więc był dobrej myśli i taki tajemniczy w stosunku do towarzyszków, jak ktoś, komu się udało wynaleźć perpetuum mobile. Jobst i Frydolin podpatrzyli go jednak rychło i dziwowali się głębi jego umysłu i obrotności. Zwłaszcza Jobst zachodził po-



## TRZEJ SPRAWIEDLIWI GRZEBIENIARZE

prostu w głowę: boć on przecie już od lat wielu też przychodził do tego domu, a nigdy nie wpadł na myśl, by szukać tam czegoś innego, jak swej bielizny; raczej nienawidził prawie tych ludzi, jako jedynych, dla których musiał co tydzień wysupłać kilka groszy w gotowiznie. O związku małżeńskim nie zwykł był myśleć, gdyż przez żonę mógł rozumieć jedynie istotę, która chciała od niego czegoś, co jej się nie należało, nie przyszło mu zaś do głowy chcieć od kobiety czegoś takiego, co mogło dlań być korzystne, ufał bowiem tylko samemu sobie, a nie widzące końca nosa myśli nie przekraczały najbliższego i najciaśniejszego koła jego tajemnicy. Ale oto trzeba było ubiec Szwabka, bo ten mógłby z siedmiuset guldenami panny Zezi, gdyby je dostał, nielada im kawał urządzić; i oto owe siedemset guldenów zajaśniały jeszcze większym blaskiem w oczach Sasa i Bawara. Tak tedy pomysłowy Dytrych odkrył dziedzinę, która wkrótce stała się dobrem wspólnem, i musiał podzielić cierpki los 'wszystkich odkrywców; bo tamci dwaj poszli zaraz w jego ślady i przedstawili się u Zezi Byncli, ona zaś ujrzała się otoczoną przez całe grono rozsądnych i szanownych grzebieniarzy.

To jej się niezmiernie podobało; nigdy jeszcze nie miała większej ilości wielbicieli równocześnie, wskutek czego stało się to dla niej nowym rodzajem ćwiczenia duchowego, że z trze-

ma temi osobnikami postępowała jak najrozważniej i najbezstronniej, trzymała ich w korbach, zamierzając dopóty przemówieniami swojemi zachęcać ich do wyrzeczenia się i bezinteresowności, aż niebiosa same zrządzą, co stać się musi.

Ponieważ każdy z nich osobno zwierzył się jej tylko ze swej tajemnicy i z planu swego, więc postanowiła wraz tego uszczęśliwić, który osiągnie cel i stanie się posiadaczem przedsiębiorstwa. Szwabka jednak, który mógł się stać nim tylko dzięki niej, wykluczyła zupełnie i postanowiła w żadnym razie nie brać go za męża; ale że był on najmłodszy, najroztropniejszy i najprzyjemniejszy wśród tych czeladników, więc dawała mu niby ciche znaki nadziei, i przez życzliwość, z jaką nim szczególnie zdawała się opiekować i rządzić, podniecała tamtych do większych zapałów; tak iż ten biedny Kolumb, który odkrył piękną ziemię, stał się w grze zgoła durniem. Wszyscy trzej współzawodnicyli w potulności, skromności i rozsądku oraz w powabnej sztuce przyzwalania, by surowa dziewczica trzymała ich na wodzy, i w kunszcie zachwycania się nią bezinteresownie, a gdy całe to bractwo było razem, sprawiało wrażenie jakiejś szczególnej schadzki tajemnej, gdzie prowadzono najosobliwsze rozmowy.

Pomimo całej pobożności i pokory zdarzało się co chwila, że ten lub ów, odbiegając nagle

od wychwalania wspólnej ich władczyni, usiłował chwalić samego siebie i podnieść własne zalety, a przywołany przez nią łagodnie do porządku, musiał się wstydzić, że mu przerwano, lub słuchać, jak ona przeciwstawiała mu cnoty tamtych, co on też skwapliwie uznawał i potwierdzał.

Był-ci to jednak twardy żywot dla biednych grzebieniarzy; bo jakkolwiek zimni z natury, przecież z chwilą, gdy weszła w grę niewiasta, doznawali zgoła niezwyuczajnych porywów zazdrości, troski, obawy i nadziei; w pracy i oszczędzaniu zdzierali się prawie do cna i chudli w oczach; opanowała ich melancholja, i gdy wobec ludzi, a zwłaszcza u Zezi, silili się na najspokojniejszą wymowność, — nie odzywali się wcale do siebie, siedząc razem przy pracy lub w sypialni, i z westchnieniem kładli się do wspólnego łoża, wciąż jeszcze tak cisi i zgodni, niby trzy patyki.

To samo marzenie senne unosiło się każdej nocy nad tą trójlistną koniczyną, — aż razu jednego stało się ono tak żywe, iż Jobst pod ścianą przewrócił się i trącił Dytrycha; Dytrych cofnął się nagle i uderzył Frydolina, i oto w zaspianych czeladnikach wybuchła wściekła złość i wszczęła się w łożu okropna walka, gdy w ciągu trzech minut tak gwałtownie szarpali się, kopali i tłukli, że wszystkie sześć nóg splą-

tały się z sobą, i cały ten kłęb, wrzeszcząc przeraźliwie, z łóżka wyfiknął.

Zbudziwszy się, mniemali, że djabli ich biorą lub że zbóje włamali się do izby; z krzykiem skoczyli na równe nogi, Jobst stanął na swym kamieniu, Frydolin śpiesznie na swoim, Dytrych zaś na tym, pod którym uzbierały się już jego drobne oszczędności; a gdy stali w takim trójkącie, drżąc i rękami w powietrzu wywijając, krzyczeli w niebogłosość: Gwałtu! rety! precz! precz!—aż przerażony majster wpadł do izby i uspokoił oszalałych czeladników. Drżąc ze strachu, wściekłości i wstydu, wpełzli wkońcu z powrotem do łóżka i leżeli przy sobie, nie puszczając pary z gęby, aż do samego ranka. Wszelako strachy nocne były jeno przedgrywką do większej jeszcze grozy, która ich teraz czekała, gdy majster oznajmił im przy śniadaniu, że nie może nadal trzymać trzech robotników i że dwaj z nich muszą precz powędrować; byli mianowicie zbyt gorliwi i tyle towaru wyrobili, że część zaległa w składzie, podczas gdy majster zużył zarobek zwiększony na to, by przedsiębiorstwo, gdy doszło do szczytu powodzenia, tem skorzej doprowadzić znowu do upadku, i wiódł życie tak wesołe, że rychło miał dwakroć więcej długów, niż dochodów. Tak więc czeladnicy, choć tacy pilni i wstrzeźmieli, stali się dlań nagle nadmiernym ciężarem. Na pociechę rzekł im, że wszystkich

trzech jednako miłuje i ceni, że więc im to zostawia, by sami między sobą rozstrzygnęli, który ma zostać, a którzy mają w świat wywędrować. Ale oni nic nie rozstrzygali, jeno stali w osłupieniu bladzi śmiertelnie i uśmiechali się głupkowato jeden do drugiego; poczem ogarnęło ich okropne podniecenie, boć to była chwila najbardziej wyroczna: oznajmienie majstra świadczyło bowiem niezawodnie, że bliskim jest już bankructwa i że fabryczka grzebieni będzie nareszcie znowu do nabycia. Tak tedy cel, do którego wszyscy trzej dążyli, był tuż-tuż i jaśniał jak Hieruzalem niebiańska, a oto dwaj mieli cofnąć się od jej bram i odwrócić do niej plecami.

Prosto z mostu oświadczył każdy, że chce zostać na miejscu, choćby miał pracować zupełnie zadarmo. Ale majster i z tego nie mógł zrobić użytku i zapewnił ich, że dwaj w każdym razie pójść sobie muszą.

Padli mu do nóg, ręce załamywali, zaklinali go i błagali—każdy za siebie, żeby go zatrzymał jeszcze tylko przez dwa miesiące, jeszcze tylko przez cztery tygodnie. Ale on wiedział dobrze, na co oni spekulują, i gniewało go to, więc sobie z nich zakpił, proponując im nagle żartobliwe wyjście.

— Jeżeli nijak—rzekł—zgodzić się nie możecie, którzy z was mają odejść, to wskażę wam, jak rozstrzygnąć sprawę, i tak ma być—

i basta! Jutro jest niedziela, jutro spłacę was, spakujecie tobołki, weźmiecie kije i wywędrujecie zgodnie wszyscy trzej za bramę o pół stajania drogi, kędy wam się spodoba. Zaczem spoczniecie sobie, i z flaszy pociągnąć możecie, a uczyniwszy to, wracajcie do miasta: który pierwszy stanie przede mną i o robotę poprosi, tego-ci zatrzymam; drudzy zaś bez apelu będą musieli pójść, dokąd ich oczy poniosą!

Padli mu znowu do nóg i błagali, by odstąpił od tego okrutnego zamierzenia, ale daremnie: pozostał twardy i nieubłagany. Niepostrzeżenie zerwał się Szwabek, wybiegł z domu jak opętany i skoczył do Zezi Byncli; skoro zauważyli to Jobst i Bawar, przerwali swe lamentacje i popędzili za nim, a niebawem scena rozpaczna przeniosła się do mieszkania przeżalonej dziewczycy.

Ta nagła przygoda zaskoczyła ją i poruszyła bardzo; ale opanowała się pierwsza i, ogarnąwszy położenie rzeczy, postanowiła własny swój los związać z dziwacznym pomysłem majstra, uważając ten pomysł za palec Boży; ze wzruszeniem wydobyła skarbczyk i wetknęła igłę między kartki, a w sentencji, na którą trafiła, była mowa o wytrwałem dążeniu do dobrego celu. Następnie kazała podnieconym czeladnikom uczynić to samo, a na każdej przez nich otworzonej stronicy była mowa o gorliwym kroczeniu po wąskiej ścieżce, o dążeniu na-

przód bez oglądania się wstecz, o drodze życiowej—słowem, o biegu i pędzie wszelkiego rodzaju, tak iż jutrzejszy wyścig najwyraźniej przez niebo był przepisany. Ale że się obawiała, iż Dytrych, jako najmłodszy, może snadnie ubiec tamtych i odnieść palmę zwycięstwa, postanowiła wyruszyć sama z trzema wielbicielami i baczyć, co dałoby się uczynić na własną korzyść; pragnęła bowiem, by tylko jeden z dwóch starszych zwyciężył, a było jej to zgoła obojętne—który.

Nakazała przeto biadającym i swarzącym się z sobą spokój i poddanie się woli nieba, rzeczając:

— Uważcie, przyjaciele, iż nic się nie dzieje bez głębszego znaczenia, i jakkolwiek dziwnem i niezwyčajnem jest żądanie waszego majstra, to przecież musimy uznać je, jako zrządzenie Opatrzności i, pełni mądrości wyższej, o której się swawolnemu temu człowiekowi ani śni, ulec temu postanowieniu, co spadło na nas, jak grom z jasnego nieba. Nasze zgodne i rozsądne współzycie było zbyt piękne, iżby długo jeszcze mogło trwać tak przykładnie; bo, ach! wszystko, co piękne i owocne, tak-ci jest nietrwałe i znikome, i nic nie trwa prócz tylko zła, zatwardziałości i osamotnienia duszy, które my naówczas pobożnym swoim rozumem rozważamy i obserwujemy. To też, zanim, broń Boże! jakiś złośliwy demon rozdziwienia wśród

nas głowę podniesie, rozstańmy się raczej dobrowolnie i rozłączmy z sobą, jak lube zefirki wiosenne, gdy zaczynają chyży swój bieg po niebie, zanim nas coś odrzuci od siebie, jak wichher jesienny. Sama wam towarzyszyć będę na tej ciężkiej drodze, i w obecności mojej staniecie do biegu w zawody, byście nabrali radosnej otuchy i mieli piękną podniechę na tyłach, gdy z przodu uśmiechać się do was będzie cel—zwycięstwo. Lecz jak zwycięzca nie powinien pyszczyć się swem szczęściem, tak zwyciężeni niechaj nie upadną na duchu i nie chowają w sercu gniewu i urazy, ale mając przed oczyma duszy wdzięczną pamięć naszą, jako ochoczy młodzieńcy wędrowni pociągną w daleki świat; albowiem ludzie wiele miast pobudowali, tak pięknych, a nawet jeszcze piękniejszych, niż Seldwila: Rzym jest wielkiem nadzwyczajnym miastem, gdzie-to Ojciec Święty zamieszkuje, a Paryż to miasto całkiem ogromne, gdzie dusz tysiące i wspaniałe pałace, a w Konstantynopolu panuje sułtan wiary tureckiej, a Lizbonę, ongi przez trzęsienie ziemi w gruzy zwałoną, tem-ci piękniej znów odbudowano. Wiedeń jest stolicą Austrii i zwie się miastem cesarskiem, a Londyn jest miastem najbogatszym w świecie i leży w Anglii nad rzeką, która zowie się Tamiza. Dwa miliony ludzi tam mieszka! Petersburg zaś jest to główne miasto i stolica Rosji, jak znów Neapol jest miastem głównym kró-



lestwa teje nazwy z rzygającą ogniem górą Wezuwjust, na której raz jednego angielski kapitan okrętowy zobaczył duszę potępioną, o czem czytałam w nadzwyczajnym opisie podróży, która-to dusza jest własnością niejakiegoś Johna Smidta, który przed stu pięćdziesięcioma laty był człkiem bezbożnym i kapitanowi rzezonemu dał zlecenie do swych potomków w Anglii, żeby go wybawiono; bo cała ta góra ognista jest miejscem pobytu potępieńców, jak o tem czytać można w traktacie uczonego Piotra Haslera o domniemanej okoliczności piekła. Jest prócz tego siła miast innych, z których nazwę jeszcze tylko Medjolan, Wenecję, zbudowaną całkowicie na wodzie, Lyon, Marsyljonę, Strasburg, Kolonję i Amsterdam; o Paryżu już mówiłam, ale jeszcze nie o Norymberdze, Augsburgu, Frankfurcie, Bazylei, Bernie i Genewie—wszystko piękne miasta, jako i piękny Zurych, a dalej jeszcze wiele, wiele, których wyliczać nigdybym nie skończyła. Boć wszystko ma swoje granice, tylko nie wynalazczość ludzi, którzy wszędy się rozprzestrzeniają i wszystko przedsiębiorą, co im się widzi pożytecznem. Jeżeli są sprawiedliwi, to im się powiedzie, zasię niesprawiedliwy przepada, jako trawa polna i jako dym. Wielu jest wybranych, ale mało powołanych. Z wszystkich tych względów i wielu jeszcze innych, które kładą na nas powinność i cnota naszego czystego sumienia,

poddajmy się wołaniu naszego losu. Przeto idźcie i gotujcie się do wędrówki, a czyncie to, jako mężowie sprawiedliwi i łagodni, którzy wartość swoją niosą wszędy, dokądkolwiek pójdą, a których kij zapuszcza wszędzie korzenie, i którzy, czegokolwiekby się jęli, powieździe sobie mogą: oto lepszą częśćkę wybrałem!

Ale grzebieniarze o niczem słyszeć nie chcieli, jeno szurmowali do roztropnej Zezi, by, jednego z nich wybrawszy, zostać mu każała, a każdy miał na myśli siebie. Lecz ona ani myślała o wybraniu któregoś z nich i oznajmiła im poważnie i władczo, że muszą być jej posłuszni, bo inaczej pozbawi ich na zawsze swej przyjaźni,

Teraz Jobst, najstarszy z nich, wybiegł znowu nagle i wpadł do domu majstra, a za nim popędzili dwaj drudzy w obawie, by on tam czegoś przeciwko nim nie przedsięwziął; i tak kołowali przez cały dzień tam i sam, zjawiając się i znikając, jak meteory, i wzajemnie sobie obmierzli, jak trzy pająki w jednej pajęczynie. Pół miasta widziało to osobliwe widowisko zbzikowanych grzebieniarzy, którzy dotychczas byli tacy cisi i spokojni; a starzy ludzie uczyli lęk i uważali to zjawisko za tajemniczy prognostyk fatalnych wypadków.

Pod wieczór owi trzej wyczerpali się i osłabli, nie wymyśliwszy nic mądrego, nie zdecydowawszy się na nic, i szcękając zębami, legli

w stare łoże; jeden za drugim wpełzał pod kołdrę i leżał tam, jak przez śmierć wyciągnięty, z błędnymi myślami, aż ogarnął go sen zba-  
wienny.

Jobst zbudził się pierwszy o świcie i ujrzał, że wesoły ranek wiosenny rzucał swe jasne promienie do izby, w której on oto sypiał już od lat sześciu. Jakkolwiek nędzną była ta izba, jednak wydała mu się istnym rajem, z którego ma być oto wypędzon, i to tak niesprawiedliwie. Oczyma wodził po ścianach i liczył wszystkie dobrze sobie znane ślady po wielu czeladnikach, którzy tu przez dłuższy lub krótszy czas mieszkali: w tem miejscu oto jeden zwykł był ocierać się głową, tak iż ciemna plama powstała, tam znów któryś wbił gwóźdź, by fajkę na nim zawiesić, a sznurek czerwony jeszcze pozostał. Jacyż dobrzy to ludzie byli, iż tak pocziwie sobie poszli, gdy tymczasem ci, którzy przy nim oto leżą, za nic nie chcą ustąpić. Zaczem utkwiał wzrok w miejscu tuż przed sobą i przyglądał się tutaj mniejszym rzeczom, oglądanym już tysiackrotnie, gdy rano lub wieczór, póki było widno, leżał w łóżku i rozkoszował się bytem błogim i bez kosztów. Tu był kawałek uszkodzonego tynku, podobny do jakiejś krainy jezior i miast, a kupka większych ziaren piasku wyobrażała grupę wysp szczęśliwych; dalej ciągnęła się długa szczeć świńska, która wypadła z pendzla i utknęła w niebieskiej mazi: bo ostat-

niej jesieni Jobst znalazł reszteczkę mazi takiej, a izby nie poszła na marne, pomalował nią ćwiartkę ściany, ile starczyło, a rzecz prosta, pomalował pas najbliższy swego miejsca w łóżku. Po tamtej zaś stronie szczeci było maleńkie wzniesienie, jakby drobny siny pagóreczek, który ponad szczeciną rzucał ku wyspom szczęśliwym lekką smugę cienia. Nad tym pagórkiem zastanawiał się głęboko już przez całą zimę, bo zdało mu się, że dawniej go nie było. Kiedy tak oto smutnem i mętmem okiem szukał onego pagórka i nagle brak jego zauważył, zmysłom swym ledwie ufał, gdy zamiast niego znalazł na ścianie małą gołą plamę, natomiast widział, jak drobna sina górka opodal się ruszała i zdawała się posuwać. Zdumiony zerwał się nagle Jobst, jak gdyby istny cud zobaczył, a przekonał się, że była to pluskwa, po której, jak wiadać, minionej jesieni niebacznie przejechał pendzlem, gdy siedziała tu już w odrętwieniu. Teraz oto, ożywiona ciepłem wiosennem, ruszyła z miejsca właśnie w tej chwili i, pokazując swój siny grzbiet, pięła się rażno po ścianie. Wzruszony i pełen zdziwienia spoglądał na nią: dopóki posuwała się po płaszczyźnie sinej, ledwie ją od ściany odróżnić można było; gdy jednak wyszła z obrębu posmarowanego i miała już za sobą ostatnie pojedyncze rozpryski, pocziwe błękitne zwierzątko szło, widzialne zdala, drogą swoją przez ciemniejsze okręgi.

Załośnie osunął się Jobst na poduszkę; choć z takich rzeczy niewiele sobie robił, teraz jednak zjawisko to wzruszyło go bardzo, i poczuł, jakoby i on wreszcie musiał znów powędrować, i widział w tem dobry znak, że winien poddać się temu, co nieodwołalne, i ruszyć w świat przynajmniej z dobrą wolą.

Dzięki tym spokojniejszym myślom, wróciły jego zwykły rozsądek i mądrość, a bliżej rzecz rozważywszy, doszedł do wniosku, że jeśli zachowa się pokornie i skromnie, jeśli podda się temu ciężkiemu dopustowi, a przytem weźmie się do kupy i postąpi roztropnie, najłatwiej jeszcze może odnieść zwycięstwo nad współzawodnikami.

Ostrożnie wy dostał się z łóżka i począł składać rzeczy, przedewszystkiem zaś wy dobył swój skarb i zapakował go na dnie starego kuferka. Na to zbudzili się zaraz jego towarzysze, a widząc, że tak obojętnie zawiązuje toból, zdziwili się niepomalu, a jeszcze bardziej, gdy Jobst przemówił do nich słowami pojednania, życząc im dzień dobry.

W dalsze rozmówki się nie wdawał, lecz cicho i spokojnie robił swoje. Natychmiast, chociaż nie wiedzieli, co on uknuł, zwietrzyli w jego zachowaniu się jakiś manewr i niezwłocznie zaczęli go naśladować, czujni na wszystko, co on dalej pocnie. Było przytem dziwne, jak wszyscy trzej po raz pierwszy otwarcie do-

byli skarby swoje z pod kamieni, kładąc je bez liczenia do tornistrów. Oddawna już bowiem wiedzieli, iż każdemu jest znana tajemnica pozostałych, a dawnym czcigodnym zwyczajem nie żywili względem siebie nieufności tego rodzaju, by obawiać się naruszenia własności, każdy tedy dobrze wiedział, że inni go nie ograbią,—bo też w sypialniach czeladników, żołnierzy i tym podobnych nie jest właściwem nieufne trzymanie rzeczy pod kluczem.

Nim się spostrzegli, byli już gotowi do wymarszu; majster wypłacił im za robotę i wręczył książeczki służbowe, w których przez radę miejską i przez majstra wpisane były najpiękniejsze zaświadczenia o ich stałym dobrem prowadzeniu się i wielkich zaletach; z żalosiernymi minami zatrzymali się przede drzwiami domostwa, gdzie mieszkała Zezia Byncli, i stali ubrani w długie brunatne surduty, pokryte z wierzchu staremi, wypranemi do cna kitlami od kurzu, a kapelusze, choć stare i wyskrobane już nadto przez szczołki, osłonili starannie ceratą. W tyle do kufra każdy miał przymocowany wózek, by ciągnąć na nim swój pakunek, gdyby trzeba było ruszyć w dal; myśleli jednak, że kółek nie użyją, które też dlatego sterczały wysoko nad ich plecami. Jobst wsparł się na poważnej lasce trzcinowej, Frydolin—na kijku jesionowym, wypalanym i pomalowanym na czarno i czerwono, Dytrych zaś—na jakimś potwornym

kosturze, okręconym dzikim splotem gałęzi. Wstydział on się niemal tej wyzywającej pały, która pochodziła jeszcze z okresu pierwszych wędrówek, kiedy daleko mu było do tego, co obecnie, rozumu i ustatkowania.

Wielu sąsiadów i dziatwy stało dokoła tych poważnych trzech mężów, życząc im szczęścia na nowej drodze.

W owej chwili zjawiła się przede drzwiami Zezia z miną uroczystą i na czele trzech niezdziwionych ruszyła śmiało za bramę miasta. Na ich cześć wystroiła się niezwykle: włożyła na głowę wielki kapelusz z potężnymi złotymi wstęgami, miała na sobie różową suknię z bufkami, wylotami i różnymi wyszywkami, przepasana była aksamitną czarną szarfą z tombakową zapinką, na nogach miała czerwone trzewiki saffjanowe z pomponami. Niosła przytem duży ridikjul z zielonego jedwabiu, napełniony suszonymi gruszkami i śliwkami, trzymała zaś w ręku otwartą parasolkę, na której wierzchu widziałeś wielką lirę ze słoniowej kości. Zawiesiła też na szyi medaljonik z ozdobą jasnowłosą, przypięła także złotą niezapominajkę i włożyła białe szydełkowe rękawiczki. Wyglądała przyjemnie i delikatnie w całym tem wystrojeniu, oblicze jej zlekka było zarumienione, a pierś, rzekłbyś, iż podnosiła się wyżej, niż zazwyczaj; to też wyruszający w świat konkurencji głowy wprost tracili z bólu i zgryzoty: gdyż krytyczne położenie,

piękny dzień wiosenny, przyświecający ich odejściu, i stroje Zezi zaprawiły natężone ich uczucia niemal czemś takim, co naprawdę miłością się zowie. Przed bramą życzliwa dziewczica poradziła swym przyjaciółom, by kuferki postawili na kółkach i ciągnęli je, gdyż inaczej mogliby się znużyć niepotrzebnie. Uczynili tak, a kiedy za miasteczkiem wjeżdżali na góry, miało się prawie wrażenie, że to jakaś artylerja ciężka wtacza się z łomotem, by zająć pozycję. Gdy uszli już z dobre pół godziny, zatrzymali się na powabnym wzgórk, gdzie krzyżowały się drogi, i siedli w półkole pod lipą, skąd roztaczał się szeroki widok na lasy, jeziora i siedziby ludzkie. Zezia otworzyła swój worek i dała każdemu garść gruszek i śliwek gwoli odświeżeniu się, i tak siedzieli przez długą chwilę milczący i poważni, przerywając tę ciszę jeno lekkim szmerem, jaki wydawało mlaskanie językami, gdy miażdżyli w ustach owoc słodki.

Odrzucając pestkę śliwkową i wycierając powalane końce palców o świeżą trawkę, Zezia tak oto mówić zaczęła:—Drodzy przyjaciele! Patrzenie, jak piękny i szeroki jest świat, wszędy wkoło pełen wspaniałych rzeczy i pełen mieszkań człowieczych! A przecież założyć się gotowam, że w tej uroczystej chwili nigdzie na tym tak szerokim świecie nie siedzą razem cztery tak prawe i tak zacne dusze, jak my tutaj, tak myślące i rozważne, tak oddane wszelkim skrzęt-



nym zajęciom i cnotom, żyjące w ukryciu, oszczędne, zgodne i zdolne do przyjaźni z głębi serca. Ileż to kwiecica wszelkiego rośnie tu wokół nas, z wszelkich gatunków, jakie wiosna rozsiewa, zwłaszcza żółte kluczyki, z których otrzymujemy wonną i zdrową herbatę; ale czyż kwiaty te są sprawiedliwe lub pracowite? oszczędne, przezorne i zdolne do myśli roztropnych i pouczających? Nie, są to nieświadome i bezmyślne stworzenia: bez duszy i bez rozumu trwonią one czas, a mimo iż są tak piękne, martwe siano będzie z nich; gdy tymczasem my cnotą naszą tak dalece nad niemi górujemy, a pod względem ozdobnej postaci zaprawdę w niczem im nie ustępujem; bo Bóg stworzył nas na obraz i podobieństwo swoje i tchnął w nas Boski swój dech. O, żebyśmy to mogli wieczyście tak siedzieć tu w tym rajū i w takowej niewinności! O tak, przyjaciele moi, mam takie wrażenie, jakbyśmy znajdowali się społem w stanie niewinności, ale uszlachetnieni przez poznanie bezgrzeszne; bo wszyscy umiemy, dzięki Bogu, czytać i pisać i nauczyliśmy się wszyscy zręcznego rzemiosła. Do wielu rzeczy byłabym zdatna i zdolna i podjęłabym się wykonać to, czemu nie podoła najuczepsza panna, gdybym chciała wyjść z mojej sfery; ale skromność i pokora stanowią najprzedniejszą cnotę prawej niewiasty, i dość mi wiedzieć, że duch mój nie jest bez wartości i wzgardzon przed są-

dem istoty jakiejś wyższej. Już wielu niegodnych pożałowało mnie, a oto widzę naraz zgromadzonych przy sobie trzech zacnych kawalerów, z których każdy byłby wart tego, by mnie posiadać! Weźcie z tego miarę, jak serce moje łaknąć musi w tym cudownym nadmiarze, i bierzcie każdy przykład ze mnie, a wyobraźcie sobie, że każdy jest otoczony, niby kwiatami, trzema równie godnymi dziewczycami, które go pożądata, on zaś przeto ku żadnej skłonić się i ani jednej dostać nie mógł! Wyobraźcie więc sobie żywo, że do każdego z was trzech umizgają się trzy dziewice Byncli i siedzą tak dookoła was, strojne, jak ja, i równie czcigodne, tak iż byłabym tu obecną niejako udziwięciokrotnioną i z wszystkich stron oczkowałabym ku wam i wasbym łaknęła! Czynicież to?

Dzielni czeladnicy z podziwu przestali zuć i z głupawemi minami usiłowali rozwiązać to niesłychane zadanie. Szwabek pierwszy się z tem uporał i zawołał z chutliwym obliczem:

— Tak, najszacowniejsza panno Zeziul jeśli panna łaskawie pozwoli, to widzę ją nie tylko potrojoną, ale nawet ustokrotnioną, jak lata dookoła mnie i spoziera na mnie przymilnemi oczkami i rzuca mi tysiąc całusków!

— Cóż znowul—odparła Zezia z niechęcią—nie w taki nieprzystojny i przesadny sposób! Co panu strzeliło do głowy, nieskromny Dytrychu? Pozwoliłam wyobrazić siebie nie usto-

krotnioną i ofiarującą całuski, jeno tylko potrojoną dla każdego, z manierami obyczajnemi, aby cześć moja nie doznała szwankul

— Tak—zawołał wreszcie Jobst i ogonkiem gruszki powiódł wokół siebie—tylko potrojoną, ale w najwyższym stopniu czcigodną widzę przemiłą dziewicę Byncli, jak chodzi dookoła mnie i kiwa życzliwie, kładąc dłoń na sercul Bardzo dziękuję, dziękuję, dziękuję uniżenie! — dodał, kłaniając się z miną przymilną w trzy strony, jak gdyby rzeczywiście widział te zjawy.

— Tak to dobrze — rzekła Zezia z uśmiechem—jeśli między wami jest jaka różnica, to pewnie ta, że pan jest najzdolniejszy, kochany Jobście, a w każdym razie najrozsądniejszy!

Bawar Frydolin ciągle się biedził, jak ma sobie Zezię wyobrazić, gdy jednak słyszał, że pochwalono Jobsta, zatrwożył się i zawołał śpiesznie:

— Ja także widzę najmilszą dziewicę Byncli, jak potrojona dookoła mnie chodzi w najwyższym stopniu czcigodna i lubieżnie na mnie kiwa, kładąc rękę na...

— A pfe, Bawarzel — ofuknęła go Zezia i odwróciła twarz—ani słowa więcej! Skąd panu ta śmiałość mówić o mnie w słowach tak rozwiązłych i takie paskudztwa sobie wyobrażać? Pfe, pfe!

Biedne Bawarzysko było jak piorunem rżone i oblało się gorącym rumieńcem, nie wie-

dząc za co; albowiem nie wyobrażał on sobie nic zgoła, a tylko wedle dźwięków, które mu w ucho wpadły, powtórzył mniej więcej to, co usłyszał od Jobsta—wobec pochwały, jaką tamtego za jego przemówienie obdarzono.

Zezia zwróciła się znowu do Dytrycha i rzekła:

— No, kochany Dytrychu, czy jeszcze nie udało się panu pomyśleć rzeczy stosownej w sposób nieco skromniejszy?

— Owszem, za pozwoleniem panny — odrzekł rad wielce, że znowu go zagabnęła — widzę pannę teraz tylko potrojoną wokół mnie, jak patrzy życzliwie, ale przyzwoicie, i wyciąga do mnie trzy białe rączki, które ja całuję!

— No, dobrze—rzekła Zezia—a pan, Frydolinie? nie wrócił pan jeszcze ze swych manowców? Czy burzliwa krew pana jeszcze nie może uspokoić się i powziąć jakiegoś całkiem przyzwoitego wyobrażenia?

— Przepraszam pannę! — ozwał się Frydolin z lękiem—zdaje mi się, że widzę teraz trzy dziewice, które podają mi gruszki suszone i wcale nie są mi nieprzychylnie, Żadna z nich nie jest piękniejsza, niż inne, a wybór między niemi zdaje mi się być twardym orzechem do zgryzienia.

— Otóż — poczęła prawić Zezia — skoro w wyobraźni swojej otoczeni jesteście przez dziewięć takich zgoła równie godnych osób,

a przy tym wabnym nadmiarze jednak sercom waszym brak czegoś boleśnie, weźcie z tego miarę, jak ja się czuję; a jak widzieliście po mnie, że mądrze i skromnie umiem zapanować nad sobą, tak bierzcie przykład z mej mocy i ślubujcie mnie i sobie nawzajem, że żyć będziecie zgodnie i, jak ja życzliwie z wami się rozstaję, takóŜ wy przyjaźnie się rozłączycie, cokolwiek los, który was czeka, postanowiłby miał! ZłóŜcie tedy wszyscy dłonie swoje w mej dłoni i ślubujcie mi to!

— Tak, zaprawdę — wołał Jobst — co do mnie, ja to zrobię, ja nie zawiodę! — a dwaj drudzy wołali skwapliwie:—I ja tak samo, i ja tak samo!—i wszyscy złożyli swe dłonie razem, przyczem kaŜdy postanowił w duchu, bądź co bądź, dać z miejsca susa, na jaki się tylko zdobędzie.—Ja prawdziwie nie zawiodę! — powtórzył Jobst—bo ja od młodości miałem charakter litościwy i zgodny. Nigdy nie kłóciłem się z nikim i nigdy nie mogłem patrzeć na cierpienie najmniejszego stworzonka; gdziekolwiek byłem, wszędzie żyłem z ludźmi zgodnie i zbierałem największe pochwały za moje zachowanie się spokojne; bo chociaŜ rozumiem się trochę na niejednej rzeczy i jestem rozsądnym młodym człowiekiem, to przecieŜ nie widziano nigdy, bym mieszał się do tego, co do mnie nie należy, i zawsze spełniałem obowiązek swój z rozwągą. Mogę pracować, ile tylko zechcę, i nic

mi to nie szkodzi, bom zdrów i ochoczy i w sile wiekul. Wszystkie moje majstrowe mówiły także, że, żem jest chłop setny, człek wyjątkowy, że ze mną łatwo dojść do ładul. Ach, myślę naprawdę, że mógłbym żyć jak w niebie z panną, najmilsza dziewico Zeziul!

— Ajl—rzekł Bawar z zapałem—wierzęć ja z duszy, nie byłaby to żadna sztuka żyć z panną, jak w niebie! I jabył się na to zdobył, bom jest nie w ciemę bity. Rzemiosło swoje znam gruntownie i umiem trzymać rzeczy w garści, nie gadając po próżnicy. Z nikim nigdy nie zadarłem, chociażem pracował w największych miastach, i nie uderzyłem nigdy kota, anim nie zabił pajaka. Jestem umiarkowany i wstrzemięźliwy, zadowalam się każdą strawą i umiem poprzestać na odrobinie i być z tego zadowolonym. Ale jestem też zdrów i rażny i mogę nie byle co wytrzymać, boć czyste sumienie jest najlepszym eliksirem życia; wszystkie zwierzęta mnie lubią i biegają za mną, bo wietrzą we mnie czyste sumienie, gdyż przy człowieku niesprawiedliwym nie chcą być. Pies—pudiel jakiś—biegł raz za mną przez trzy dni, gdym opuszczał miasto Ulm, i musiałem go wkońcu oddać jakiemuś włościaninowi, bo sam, jako biedny czeladnik, nie mogłem wyżywić takiego zwierzęcia; a gdym przez Las Czeski wędrował, to jelenie i sarny o dwadzieścia kroków jeszcze stały, nie lękając się mego wido-

## TRZEJ SPRAWIEDLIWI GRZEBIENIARZE

---

ku. Istne to dziwy, jak to nawet dzikie zwierzęta poznają się na ludziach i wiedzą, kto ma dobre sercel

— Tak, to prawda być musil — zawołał Szwab — czyż nie widzicie, jak ta zięba przez cały czas już przede mną fruwa i chce zbliżyć się do mnie? A tam wiewiórka na jodle ogląda się ciągle na mnie, a tu pełza wciąż mały chrabąszcz po mej nodze i nijak spędzić się nie da. Temu musi być pewnie bardzo dobrze przy mnie, kochane, lube stworzonko!

Tu już Zezia stała się zazdrosna i rzekła nieco gwałtownie:

— Przy mnie wszystkie zwierzęta chętnie zostają! Ptaka jednego miałam przez lat ośm i bardzo niechętnie mnie odumarł; kot nasz łązi wciąż za mną, gdziekolwiek się obróć, a gołębie sąsiada cisną się da mego okna i kłóćą przy niem, gdy sypię im okruchyl! Dziwne obyczaje mają-ci zwierzęta według natury swojej! Lew towarzyszy chętnie królom i bohaterom, a słoń idzie w orszaku książąt i męźnych rycerzy; wielbłąd niesie kupca przez pustynię i zachowuje świeżą wodę dla niego w swym brzuchu, a pies towarzyszy swemu panu we wszelkich niebezpieczeństwach i rzuca się dla niego do morza! Delfin lubi muzykę i pły nie za okrętem, a orzeł leci za wojskami, śpięszącemi do boju. Małpa jest istotą podobną do człowieka i robi wszystko, co podpatrzy u lu-

dzi, a papuga mowę naszą rozumie i gawędzi z nami, jak stara! Nawet węże dadzą się obłaskawić i tańczą na końcu swego ogona; krokodyl płacze ludzkimi łzami, a obywatele tamtejsi szanują go i szcędzą; struś pozwala się osiodłać i jeździć na sobie, jak na koniu; dziki bawół ciągnie wóz człowieka, a rogaty renifer—sanie. Nosorożec daje człowiekowi śnieżnie białą kość słoniową, a żółw—swe przezroczyście kości...

— Za pozwoleniem — przerwali wszyscy trzej grzebieniarze naraz — tu panna się myli pewnikiem: kość słoniową bierze się z zębów słonia, a grzebienie szyldkretowe wyrabia się z grzbietu, a nie z kości żółwia!

Zezia poczerwieniała jak rak i rzekła:

— To jeszcze wielkie pytanie, bo wy z pewnością nie widzieliście, skąd to się bierze, a obrabiacie jeno kawałki; ja myślę się wogóle rzadko, ale—tak czy owak—dajcie mi skończyć: nie tylko zwierzęta mają swe osobliwe, przez Boga dane, właściwości, ale nawet i martwy kamień, co go się wydobywa z gór. Kryształ jest przezroczysty jak szkło, marmur zato—twardy i żyłkowaty, to biały, to czarny; bursztyn ma własności elektryczne i przyciąga piórno; ale wtedy spala się i pachnie jak kadzidło. Magnes przyciąga żelazo, na tabliczkach szyfrowych można pisać, lecz nie na djamencie, bo ten jest twardy jak stal; używa go też szklarz



do krajania szyb, bo jest mały i ostry. Widzicie, kochani przyjaciele, że ja też umiem opowiedzieć coś o zwierzętach! Co się zaś tyczy mego stosunku do nich, to należy zauważyć: kot jest chytrem i przebiegłym zwierzęciem, i dlatego przywiązuje się jeno do chytrych i przebiegłych ludzi; gołąb zaś jest symbolem niewinności i prostoty i może czuć pociąg tylko do dusz naiwnych i bezwinnych. A że i koty i gołębie przywiązują się do mnie, więc wynika z tego, że jestem roztropna i naiwna, chytra i niewinna zarazem, jak też powiedziano: Bądźcie roztropni jako węże i prości jak gołębie! Tak to możemy jużci ocenić zwierzęta oraz ich stosunek do nas i niejednej rzeczy przytem się nauczyć, jeśli należycie patrzeć potrafimy.

Biedni czeladnicy nie śmieli rzec już ani słowa; Zezia przegadała ich dokumentnie i prawiła jeszcze wiele górnolotnych rzeczy bezładu i składu, tak że nie wiedzieli już, na którym są świecie. Podziwiali jednak umysł i wymowność Zezi, a mimo taki podziw, żaden nie uważał się za zbyt lichego, by ten klejnot posiąść; zwłaszcza, iż ta ozdoba domu była tak tania i polegała jeno na niepowstrzymanym języku. Czy sami tego, co tak wysoką cenią, również są warci i czy wiedzieliby, co z tem począć, o to matolki takie pytają się naostatku albo nie pytają się wcale, są zaś jako dzieci, które sięga-

ją po wszystko, co świeci im w oczy, ze wszystkich pstrych przedmiotów farbę zlizują, a grzechotkę całą do ust biorą, zamiast przyłożyć ją tylko do ucha. Tak rozpalali się coraz bardziej imaginacją i żądzą zdobycia tej wyjątkowej osoby, a im bardziej bezduszne, bez serca i pełne próżności były niedorzeczne frazesy Zezi, tem silniejsze wzruszenie i tem większą żalność budziły one w trzech grzebieniarzach.

Zarazem odczuwali oni gwałtowne pragnienie po suszonych owocach, które tymczasem spalałowali. Jobst i Bawar poszli do lasku szukać źródła, a znalazłszy je, opili się zimnej wody; Szwabek natomiast wziął był chytrze z sobą butelczynę wiśniówki, który to luby napitek miał go pokrzepić i dać mu pierwszeństwo w biegu; wiedział on bowiem, że tamci byli zbyt ścisliwi, by zabrać coś na drogę lub wstąpić na popas. Butelczynę tę wyciągnął teraz śpiesznie, gdy tamci pompowali w siebie wodę, i podał ją dziewczicy; ta wychyliła ją do połowy, smakowało jej znakomicie, więc orzeźwiona rzuciła na Dytrycha ukośne spojrzenie zgoła łaskawe, tak iż ostatek, który sam wyduldał, smakował mu, niczem wino cypryjskie, i tego go skrzepił.

Nie mogąc się powstrzymać, ułapił rękę Zezi i ucałował dworsko jej paluszki; ona klapsnęła go lekko palcem po wargach, on zaś udawał, iż chce go chwycić, i otworzył przytem gębę niby karp uśmiechnięty; Zezia wdzięczyła się





nieszczercze i niby życzliwie, Dytrych przymilał się chytrze i słodkawo; siedzieli oboje naprzeciw siebie na ziemi i od czasu do czasu tręcali się nawzajem podeszwami, jak gdyby chcieli nogami podawać sobie ręce.

Zezia, pochylona nieco naprzód, położyła mu dłoń na ramieniu, a Dytrych chciał tę miłą swawolę odwzajemnić i przedłużyć, gdy Sas i Bawar, wróciwszy, patrzyli na to jęczący i blade. Albowiem od nadmiaru wody, którą zalali w sobie spożyte gruszki suszone, zrobiło im się nagle niedobrze, a ból w sercu, jaki uczuli na widok swawołącej pary, połączył się z czczością w brzuchu, tak iż pot zimny wystąpił im na czoło.

Zezia jednak nie straciła kontenansu, lecz kiwnęła na nich nader przyjaźnie, wołając:

— Chodźcie, moi drodzy, i przysiądźcie się tu do mnie jeszcze na chwilę, byśmy krzyne i po raz ostatni zażyli naszej zgody i przyjaźni!

Jobst i Frydolin rzucili się ku niej skwapliwie i wyciągnęli swe nożyska; Zezia zostawiła Szwabkowi jedną dłoń, dała Jobstowi drugą, a stopami dotykała podeszew Frydolina, zwracając przytem uśmiechnięte oblicze do każdego po kolei.

Tak-to wirtuoz, grający jednocześnie na wielu instrumentach, potrząsa na głowie dzwoneczkami, ustami dmie w fujarkę, rękoma gra na gitarze, kolanami uderza w cymbały, stopą

w trianguł, a łokciem wali w bęben, który wi-  
si mu na plecach.

Potem jednak podniosła się z ziemi, wy-  
gładziła spódnicę, którą była starannie podwi-  
nęła, i rzekła:

— Oto czas już chyba, drodzy przyjaciele,  
byśmy się ruszyli i żebyście się sposobili do te-  
go poważnego biegu, który wam narzucił ten  
błazen-majster, a co my uważamy za zrządze-  
nie Opatrzności! Wkroczcie na tę drogę, pełni  
wzniesłego zapału, lecz bez niechęci wzajemnej  
i zawiści, i dobrowolnie zostawcie zwycięzcy  
wawrzyn!

Czeladnicy zerwali się na równe nogi, jak-  
by ich osa ukąsiła. Stali oto teraz i mieli biec  
w zawody na tych samych nogach poczciwych,  
które dotychczas chadzały jeno krokiem rozważ-  
nym i szanownym!

Żaden nie mógł sobie już przypomnieć, że-  
by był kiedykolwiek skakał lub biegał; najbar-  
dziej dowierzał sobie Szwabek, szurał nawet  
lekko nogami i niecierpliwie je podnosił. Wszys-  
cy trzej patrzyli na się bardzo dziwnie i po-  
dejrzliwie, byli bladzi i spoceni, jak gdyby pę-  
dzili już na łeb na szyję.

— Podajcie sobie — rzekła Zezia — jeszcze  
raz ręce!

Uczynili to, ale tak niechętnie i opieszale,  
że trzy dłonie zimno prześliznęły się po sobie  
i opadły, jak ołowiane.

— Mamyż rzeczywiście rozpocząć to błazeństwo?—rzekł Jobst, przecierając oczy, które zaczęły łzawić.

— Tak—odparł Bawar—mamyż rzeczywiście biec i skakać?—i zaczął beczeć.

— A panna, najmilejsza panno Byncli? — powiedział Jobst płacząc—jakże panna wobec tego się zachowa?

— Mnie przystoi—odrzekła, trzymając chustkę przy oczach—mnie przystoi milczeć, cierpieć i patrzeć!

Szwab ozwał się przyjaźnie i chytrze:

— Ale potem, później, panno Zeziu?

— O, Dytrychu! — odparła łagodnie — czyż pan nie wie, iż powiedziano: los kieruje sercem?

I przytem zerknęła na niego tak dwuznacznie, że znowu podniósł nogę i uczuł chętkę puścić się natychmiast kłusem. Podczas gdy dwaj współzawodnicy ładzili swe małe wózki, a Dytrych czynił to samo, otarła się kilka razy o jego ramię i nastąpiła mu na nogę; oczyściła mu też kapelusz z kurzu, uśmiechając się jednocześnie do tamtych, jak gdyby Szwaba wyśmiewała, ale tak, żeby on tego nie widział.

Wszyscy trzej wydęli teraz mocno policzki i westchnęli z głębi piersi. Obejrzel się na wszystkie strony, zdjęli kapelusze, otarli pot czoła, przyglądali zlepięte sztywnie włosy i nakryli znowu głowy. Znowu patrzyli

w cztery świata strony i wdychali szeroko powietrze.

Zeza litowała się nad nimi i była tak wzruszona, że sama płakała.

— Oto jeszcze trzy suszone śliwki—rzekła— weźcie każdy po śliwce do ust i trzymajcie ją tam, to was orzeźwi! Ruszajcie przed się i obróćcie głupotę złych w mądrość sprawiedliwych! Co oni wymyślili dla swawoli, wy zamieńcie na budujące dzieło próby i panowania nad sobą, na roztropny czyn po długoletniej obyczajności i współzawodnictwie w cnociel

Każdemu włożyła do ust po śliwce, którą ten wysysał.

Jobst przycisnął rękę do żołądka i zawołał:

— Jeśli tak być musi, to w imię Boże! — i nagle zaczął, z podniesioną laską, wygiąwszy silnie kolana, kroczyć szeroko i pociągnął za sobą kuferek.

Ledwie spostrzegł to Frydolin, wypuścił za nim swe długie pedały, i nie obzierając się już wcale, schodzili dość chyżo z góry na gości-niec. Szwab zebrał się ostatni i szedł z chy-trze zadowoloną miną i napozór całkiem spokojnie przy boku Zezi, jak gdyby, pewien wygranej, wspaniałomyślnie pozwalał się towarzyszom wyprzedzić.

Zeza chwaliła jego uprzejmy spokój i uwie-siła mu się poufale na ramieniu.



— Ach, przecież to rzecz piękna — rzekła z westchnieniem — mieć w życiu stałą podporę! Nawet gdy się jest dostatecznie wyposażoną w roztropność i przezorność i kroczy się ścieżką cnoty, to jednak o wiele milej iść po tej drodze przy ramieniu zaufanego przyjaciela!

— Dalipan, i ja tak myślę, że setnieby to było! — odrzekł Dytrych i trącił ją mocno łokciem, wypatrując jednocześnie, czy aby rywale nie za bardzo go wyprzedzili — a widzi panna, wzięło pannę nareszcie! Wie panna teraz, gdzie raki zimują?

— O, Dytrychu, kochany Dytrychu — rzekła, wzdychając jeszcze mocniej — często czuję się bardzo samotną!

— Hopsa, dobra nasza! — zawołał, a serce mu skakało, jak zajączek w kapuście.

— O, Dytrychu! — zawołała, przyciskając się silniej do niego.

Zrobiło mu się duszno, a serce chciało mu wyskoczyć z łobuzerskiego zadowolenia; ale jednocześnie spostrzegł, że tamci znikli mu już z oczu za skrzem. Natychmiast chciał się wyrwać Zezi z pod ramienia i skoczyć za nimi; ale ona trzymała go tak mocno, że niesposób było, i uczepliła go się, jakby miała zemdleć.

— Dytrychu! — szeptała, wywracając oczy — niech mnie pan teraz nie zostawia samej, ja polegam na panu, wesprzyj mnie pan!

— Co u licha! puść mię panna! — krzyknął — bo się spóźnię, a wtedy szukaj wiatru w polu!

— Nie, nie! nie wolno panu mnie opuszczać, czuję, że słabo mi się robił — lamentowała.

— Słabo czy nie słabo! — wrzasnął i wyrwał się gwałtownie; skoczył na pagórek i, rzuciwszy okiem wokoło, zobaczył, jak tamci zbiegali już w pełnym pędzie z góry.

Tedy podał się ciałem naprzód, by skoczyć z miejsca, ale w tejże chwili obejrzał się raz jeszcze za Zezią: siedziała na skraju wąskiej, cienistej ścieżyny leśnej i, lubo wabiąc, kiwała nań rękoma. Temu widokowi nie mógł się oprzeć, więc, zamiast z góry na dół, pośpieszył znów ku niej.

Widząc, że się zbliża, wstała i szła w głąb lasu, obzierając się za nim; albowiem zamyslała wszelkim sposobem powstrzymać go od biegu i póty go łudzić, ażby się spóźnił i nie mógł zostać w Seldwili.

Ale pomysłowy Szwabek zmienił w tejże chwili swe plany i postanowił wywalczyć sobie szczęśny los tu na górze; tak oto rzeczy wzięły zgoła inny obrót, niż się spodziewała chytra osóbka.

Skoro Dytrych ją dogonił i znalazł się z nią sam na sam w ukrytym zakątku, padł jej do nóg i zarzucił ją najognistszemi oświadczeniami

miłości, jakie kiedykolwiek wyszły z ust grzebieniarza.

Zrazu usiłowała nakazać mu spokój i, nie odpędzając go, zatrzymać przy sobie w granicach przyzwoitości, wprowadzając w grę wszystkie swe rozумы i powaby. Gdy jednak przywołał niebo i piekło, do czego podniecony i natężony jego umysł nastęrczał mu wspañiałych zakłęb, gdy zasypywał ją czułościami tysiącznemi i naprzemian to za ręce, to za nogi chwycił, by zawładnąć niemi, a jej ciało i duszę, wszystko w niej, chwalił i sławił, że niebo mogło zazielenieć, i gdy nadomiar i pogoda i las były tak ciche i błogie, Zezia straciła do reszty busolę, jako istota, której myśli nie sięgały ostatecznie dalej, niż jej zmysły; serce chrobotało w niej trwoźnie i bezbronne, jak chrabąszcz, leżący na grzbiecie, a Dytrych zawładnął niem pod każdym względem.

Zwabiła go w ten gąszcz podstępnie, a oto w mgnieniu oka Szwabek ją zdobył; stało się to zaś nie przeto, iżby była osobliwie kochliwa, lecz że, jako osoba ograniczona mimo całej swej urojonej mądrości, przecież nie widziała dalej nad koniec własnego nosa.

Zezia z Dytrychem pozostali tak z godzinkę w tej uciesznej samotności, obejmując się jeszcze i jeszcze i darząc się tysiączem całusków. Przysięgali sobie wierność na wieki,

a całkiem szczerze, i stanęło na tem, że się pobiorą w każdym razie.

Tymczasem w mieście rozeszła się wieść o dziwnym przedsięwzięciu trzech grzebieniarzy; bo majster, gwoli swej ucieście, sam rozpowiedział o tem; przeto już naprzód cieszyli się Seldwilanie z niespodzianego widowiska i pałali żądzą ujrzenia sprawiedliwych i czcigodnych grzebieniarzy, jak ci, ku ich zabawie, pędem zbliżać się będą do mety.

Kupa ludu wyległa za miejską bramę i rozłożyła się po obu stronach gościńca, jak przy oczekiwaniu szybkiego.

Chłopaki powłaziły na drzewa, starcy i niedołęgi, siadłszy na murawie, palili fajeczki, zadowoleni, iż nadarzyła im się tak tania rozrywka. Nawet panowie wyruszyli, by popatrzeć także na ten kawał niesłychany, i siedzieli, dyskurując wesoło w ogródkach i altanach gospód, i zakładali się na potęgę.

Na ulicach, któredy grzebieniarze biec musieli, wszystkie okna były otwarte, panie pokładły w pokojach bawialnych czerwone i białe poduszki do oparcia rąk i przyjmowały liczne odwiedziny przyjaciółek, tak iż na poczekaniu powstały wesołe herbatki, a służące miały wiele bieganiny po ciastka i biszkopty.

Ale oto łobuziaki, siedzące na najwyższych drzewach przed bramą, nagle dostrzegli małą zbliżającą się kurzawę i poczęli wołać:

— Już są, już są!

W rzeczy samej, Frydolin i Jobst przybiegli niebawem, jak wichurą gnani, wzbijając na środku gościńca gęsty tuman pyłu. Jedną ręką ciągnęli wózki, skaczące po kamieniach, jak szalone, drugą przytrzymywali kapelusze, które spadły im na karki, a poły długich surdutów rozwiewały się na przegony.

Obaj byli pokryci kurzem i potem, rozwarli usta szeroko i tchu łaknęli, nie widzieli i nie słyszeli nic, co się dookoła nich działo, a łyż ciężkie, których otrzeć czasu nie mieli, spływały biedakom po twarzy.

Biegli tuż jeden za drugim, nadeptując sobie na pięty, wszelako Bawar wyprzedzał Jobsta o krzybę.

Wrzask okropny się zerwał i śmiech, a huczało na wszystkie strony. Kto żyw rzucił się z miejsca i pchał się ku drodze, a zewsząd wołano:

— Dobra, dobra! Pędź, broń się, Sasie! Nie daj się, Bawarze! Jeden już odpadł, dwóch zostało!

Panowie w ogródkach, stojąc na stołach, trzęśli się ze śmiechu. A śmiech ich grzmiał mocno i donośnie ponad nieokiełzaną wrzawą rozłożonego przy gościńcu tłumu i dawał sygnał do szalonej w dniu tym uciechy.

Ulicznicy i hołota wszelka rwali z kopyta w ślad za dwoma nieszczęśnikami, i dzika zgra-

ja, wzbijając okropną kurzawę, waliła z nimi ku bramie; nawet baby i dziewczyny uliczne biegły za nimi, a głośne ich piski łączyły się z wrzaskiem chłopaków.

Już byli blisko bramy, której wieże obsiedli gapie, machający czapkami; obaj pędzili, jak konie spłoszone, z sercem pełnem męki i trwogi; wtem łobuz jakiś klęknął, niby gnom złośliwy, na ciągnionym przez Jobsta wózku i jechał sobie wśród pochwalnych okrzyków tłumu.

Jobst obrócił się i błagał go, by puścił, zamierzył się nawet kijem na niego; ale urwis skurczył się i pokazał mu finfę. Frydolin wyprzedził tedy Jobsta znacznie, a gdy Jobst to zauważył, rzucił mu laskę pod nogi, tak iż ten się przewrócił.

Lecz gdy Jobst chciał przezeń skoczyć, Bawar chwycił go za połę surduta i ciągnął się na niej do góry; Jobst uderzył go po rękach i krzyczał:

— Puść, puść!

Frydolin nie puścił, Jobst chwycił tedy za jego połę, i tak oto trzymali się nawzajem mocno i wtoczyli się zwolna do bramy, usiłując jeno od czasu do czasu dać susa, by uciec jeden przed drugim.

Płakali, szlochali i beczeli, jak dzieci, wrzeszcząc w niewysłowionej trwodze:

— O Boże, puszczaj! Na rany Boskie, puść, Jobst!

— Puszczaj, Frydoliniel puszczaj, djable!

Przytem tłukli się zawzięcie po łapach, ale wciąż ździebko jeno posuwali się naprzód. Kapelusze i laski zgubili, a dwaj malcy nieśli je przed nimi, kapelusze na laski zatknawszy, a z tyłu walił z hałasem tłum; ze wszystkich okien wyglądały panie, które srebrny swój śmiech rzucały w huczące na dole fale ludzi,— i oto dawno już miasto nie było tak rozradowane.

Szumna zabawa nadzwyczaj przypadła mieszkańcom do smaku, to też nikt nie wskazał zapaśnikom mety — domu majstra, do którego wkońcu dotarli.

Oni sami nie widzieli go, nie widzieli wogóle nic, i tak oto ten pochód szalony przewalił się przez całe miasteczko i wytoczył przez drugą bramę.

Majster leżał pod oknem, pękając ze śmiechu, a poczekawszy jeszcze godzinę na ostatecznego zwycięzcę, chciał już właśnie odejść, aby korzystać z owoców swego pożartku, gdy Dytrych i Zezia cicho i niepostrzeżenie stanęli przed nim.

Tych dwoje porozumiało się tymczasem i uradziło, że majster grzebieniarski powinien chyba, skoro i tak nie mógłby się długo utrzymać, być skłonny do sprzedania przedsiębiorstwa za gotówkę.

Zeza postanowiła dać na ten cel list zastawny, a Szwabek — dołożyć swoje grosiwo, a w takim razie staliby się oboje panami położenia, wystrychnąwszy tamtych dwóch na dudków. Zgodny swój zamysł przedstawili zaskoczonemu majstrowi; uśmiechało mu się to, by za plecami swych wierzycieli, nim dojdzie do krachu, ubić prędko targ i posiąść niespodzianie gotówkę.

W mig uładzono wszystko, i nim słońce zaszło, Zeza była już prawowitą właścicielką grzebieniarni, a narzeczony jej — najemcą domu, w którym przedsiębiorstwo to się mieściło; i tak oto Zeza, rano jeszcze tego nie przeczuwając, została zdobyta i spętana przez zręczność Szwabka.

Ledwie żywi ze wstydu, wycieńczenia i gniewu, Jobst i Frydolin leżeli w zajeździe, dokąd ich zaprowadzono, gdy w szczerem polu padli wkońcu obaj, wżarci całkiem jeden w drugiego.

Miasto całe, raz już rozochoczone, zapomniało o przyczynie tej ochoty i święciło wesołą noc. W wielu domach tańczono, a w szynkowniach pito i śpiewano, jak w najuroczystsze dni seldwilskie; gdyż Seldwilanom niewiele potrzeba było, by po mistrzowsku urządzić sobie wielką zabawę.

Kiedy obaj nieboracy zobaczyli, jak dzielność ich, którą zamysłali głupstwo świata obró-



cić na swą korzyść, posłużyła jeno do tego, by właśnie owo głupstwo zatryumfowało, zaś oni sami stali się ogólnem pośmiewiskiem, o mało serce im nie pękło, albowiem nie tylko zmarowali mądry plan lat kilku, ale stracili także sławę rozważnych i porządnych ludzi.

Jobst, który był najstarszy i przebył tu lat siedem, czuł się całkiem złamanym i nie mógł przyjść do siebie. Przygnębiony da cna, wyruszył przededniem z miasta i powiesił się na drzewie w miejscu, gdzie wczoraj siedzieli wszyscy czworo.

Gdy Bawar w godzinę później przechodził tamtędy i ujrzał go, widok ten tak go przeraził, że uciekł stamtąd, jak opętany, zaczem całkiem się odmienił, i chodziły słuchy, iż stał się człowiekiem wszetecznym i starym parobasem, który na wszystkich patrzył z podełba.

Jeden tylko Szwab Dytrych pozostał sprawiedliwym i wypłynął na wierzch w miasteczku; ale nie miał z tego wielkiej pociechy, bo Zezia starała się go poniżyć i trzymała krótko, siebie tylko uważając za jedyne źródło wszystkiego dobrego.



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

*Portret Kellera odbito według sztychu (z r. 1887)  
malarza szwajcarskiego — C. Stauffer - Berna.*









F

16.252